

# Kamena

LUBLIN 2.VIII. 1981 NR 16 (736)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

PL ISSN 0137-7108

CENA 7 ZŁ

## RZECZPOSPOLITA KULTURY 1944

Ireneusz J. Kamiński

**K**iedy w Ożarowie powstańcy warszawscy podpisali akt kapitulacji, na wyzwolonych terenach odbywały się akademie i msze żałobne za rodaków poległych w walce z Niemcami, a jednocześnie ludzie spontanicznie i wyjątkowo szeroko wspomagali fundusz pomocy ofiarom powstania. Związki zawodowe, właściciele prywatnych zakładów blacharskich i fabryk lubelskich — Caudra, Hessa — łożyli po kilkadziesiąt, kilkaset i kilka tysięcy złotych na ten cel. Na wniosek panów: Krawczyńskiego i Pechowiaka goście restauracji „Lido” przy Krakowskim Przedmieściu zebrali do kapelusza 1162 złote, aby przełać je na fundusz. W czasie wieczoru „artystyczno-muzycznego” Baonu Cęłkich Karabinów Maszynowych 9 zap. p. p. zebrano z wolnych datków 1660 złotych dla Warszawy. Wieś Grabowica w powiecie krośnieńskim przesłała 1000 zł 70 gr. Pieniądze zebrane na zakup imieninowych kwiatów dla

Dokończenie na str. 4—5

## z notatnika

### IX NADZWYCZAJNY ZJAZD PZPR

## Wyjść z kryzysu umocnić partię kontynuować linię socjalistycznej odnowy

Marek Adam Jaworski

22 VII. Od 14 do 20 lipca uczestniczyłem w obradach IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR jako dziennikarz. Niebieska karta akredytacyjna nie upoważniała mnie do wejścia na Salę Kongresową. Mogłem jedynie kręcić się w kuluarach albo też śledzić przebieg dyskusji plenarnej bezpośrednio transmitowanej przez TV do m. in. Sali Marmurowej. Nie byłem również w stanie znaleźć się równocześnie na posiedzeniach szesnastu zespołów problemowych. Wybrałem zespół pierwszy: „Ideowa i organizacyjna jedność PZPR i jej przewodnia rola w procesie socjalistycznej odnowy” — ale o tym potem.

Czego żałuję najbardziej? Oczywiście tego, że nie śledziłem posiedzeń zamkniętych, gdzie już mówiono bardzo ostro, bez ogródek. „Gazeta Krakowska” miała na tych zamkniętych posiedzeniach swojego przedstawiciela-delegata i może dzięki temu ujawniła pewne szczegóły. Nie wiem, czy to jest fair. Dlaczego bowiem jedynie czytelnicy tejże gazety mogą być lepiej poinformowani niż czytelnicy, dajmy na to, „Sztandaru Ludu” czy „Głosu Pomorza”? Przy Zjeź-

Ciąg dalszy na str. 2, 3 i 5

## Nasza krowa katedralna

Andrzej Balkowiec

Autor reportażu, związany niegdyś z prasą lubelską, przedstawia sytuację w Państwowych Gospodarstwach Rolnych przed uzyskaniem przez nie samodzielności ekonomicznej, więc niektóre sprostowania i uwagi, zawarte w tekście, straciły zapewne aktualność, wnioski zaś weszły w stadium realizacji. Niemniej jednak reportaż wydał nam się na tyle pouczający, że zdecydowaliśmy się na jego publikację.

(tłed.)

Zenona Wilczka zwa „dyrektorem awaryjnym”. Tak się jakoś składało, że zawsze posyłano go do PGR-ów, które tkwiły w bagnie deficytu. Wyciągał te gospodarstwa na przyczwoły poziom i szedł do następnych, pogrążonych w depresji.

Zdaniem mgr. inż. Wilczka państwowe rolnictwo rozłożyły ciagle reorganizacje. Najlepiej PGR-y prosperowały w latach sześćdziesiątych, gdy ministrem rolnictwa był dzisiejszy wicepremier Mieczysław Jagielski. Była wtedy stabilizacja polityki wobec PGR, opłacalność produkcji, rosły wyniki i zarobki pracowników. Dyrektorom pozostawiano dużo więcej swobody w planowaniu. Nie było nacisków na tworzenie wielkich stad inwentarza. Można było pracować nad jakością produkcji zwierzęcej, nie chodziło o mnożenie ogonów. Grano wtedy w ambicjach ludzkich, dotyczyło to każdego robotnika i dyrektora.

Po roku 1970 zaczęła występować centralizacja zarządzania pegeerami. Narodziła się planowanie ogórne za biurkami w mieście, narzucanie zadań nie zawsze do wykonania w danych warunkach klimatyczno-glebowych. Np. w Drulitach kazano mi sadzić dużo ziemniaków, a tam gleby ciężkie, dobre pod buraki cukrowe. Trzeba było to w jednodniowej nadszerej tłumaczyć i walczyć o swoje racje. Tam był mądry człowiek, mgr Różycki,

który rozumiał, ale on miał związane ręce, bo instrukcje dostawał z Warszawy. Centralizacja zarządzania zaciężyła na pegeerach wręcz fatalnie — zaznacza Wilczek — bo zaryzykowała ludzkie ambicje, eliminowała potrzebę myślenia, wprowadzając dyrektorów i robotników do roli ślepych wykonawców. Od myślenia byli ludzie za biurkiem w miastach, tak zwani rolnicy korespondenci, produkujący zarządzenia na odległość, oglądając pola i zwierzęta głównie z okien samochodów i pociągów.

Gdy zaczęto tworzyć wielkie kombinaty po 10—20 tysięcy hektarów, najlepszych fachowców pegeerowskich oderwano od produkcji i posadzono za biurkiem. Każdy inżynier ciągnął do kombinatowej czapki, bo prestiż większy, pobory także. W rezultacie przy uprawie roli i chowie zwierząt zostali ludzie z mniejszymi kwalifikacjami.

Dawniej w PGR był dyrektor, zootechnik, kierownik produkcji roślinnej i dwóch księgowych. Całe kierownictwo — 5 ludzi. On sam w Lipowie przy 4 tysiącach hektarów miał ośmiu, włącznie z nim. W kombinatowych czapkach zasiada po 70 osób. W obecnym jego gospodarstwie w dyrekcji siedzi 36 pracowników, przy ponad 7 tysiącach ha, wśród nich 5 inżynierów plus 3 osoby studiuje zaocznie oraz 20 zootechników. Gospodarstwo składa się z 4 zakładów rolnych, którymi kierują dwaj inżynierowie, jeden technik i jeden przyuczonej, doświadczony praktyk.

— Ja sobie wyliczyłem — mówi Wilczek — że gdyby tak pozwolić przejść zakładom na pełny własny rozrachunek gospodarczy, wystarczyłoby

Dokończenie na str. 4—5

Krzysztof Kamil Baczyński

## POLACY

(fragment)

Oto rozmawiam z cieniami rycerzy  
w głuchej, wygastej urnie mojej ziemi,  
a głosy jak organy rosną i strudzeni,  
tyle wieków zwalając, co nad nimi leżą,  
tyle serc w jeden kamień skutych, nim

odwala,  
jak ciemność stygną we mnie i jak wiatr się  
żala.

O! Straszne, straszne dzieje. Widzę morza  
głuche,  
ziemię z niebem złączoną, a jak step w  
posuchę,

i tętent burz pod ziemią, i tłumy wśród ogni  
wijące się jak węże pocięte w kawały,  
i twarze, twarze groźne, o! twarze podobne  
obliczom w śnie zabitych. To znów nagle  
waty,

mury, miecze się wznoszą, krzyk rozcina  
ziemię;

a potem cisza. Tylko stoją nieme  
posągi bohaterów — trzech lub dwu herosów,  
a popod nimi przepaść zieje — do dna głosu.

Jeszcze, jeszcze pochody na dalekich łąkach,  
gdzie huragany armat rwą na strzępy ziemię,  
na morzach lśniących, gdzie zamknięci w  
prądach

mocują się z żyłami golfströmów pod niemi,  
i jeszcze, jeszcze dalej — gdzie stąpają —  
zwycięscy.

I tam jeszcze, w ojezyźnie, z dłońmi  
zgorzałymi,

tam zawsze podeptani, tam zawsze na kłesce  
jak na trumnie orkanu — walenie serc na  
ziemi.

23.XII.42 r.

Zielone światło — i co dalej?

Znowu zawiadawca historii dał znak ręką. Zapaliło się zielone światło, ramię semafora uniosło się do góry i pociąg zwany rolnictwem wtoczył się na nowe tory. Zielone światło dla rolnictwa jest równie potrzebne jak Zielone Świątki. Dział ten produkuje papu, a poza tym jest tą częścią gospodarki, która ma jeszcze pewne rezerwy.

Rozwój rolnictwa w latach siedemdziesiątych podporządkowany był tzw. teorii agrobiznesu (kompleksu gospodarki żywnościowej). Streszczając w kilku słowach, polegała ona na podkreśleniu, że na ogólny efekt produkcji dóbr pochodzenia rolniczego składa się działanie trzech sfer: wytwarzania środków produkcji (maszyny, nawozy, pasze itp.), samego rolnictwa i przetwórstwa rolniczego. Tak było zresztą zawsze. Działal kował, który klepał kosy; rolnik, który orał, siał i zbierał oraz np. młynarz. Różnica między kiedyś i dzisiaj polega na tym, że zależność rolnictwa od dostaw wzrosła. Ponadto przemysł rolno-spożywczy przeniesiony został do miast. Skutkiem tych zmian, połączonej ze wzrostem rozmiarów gospodarstw i ich specjalizacją, było powstanie przedsiębiorstw integrujących trzy wymienione sfery.

Proces tworzenia agrobiznesu objął w latach sześćdziesiątych wszystkie rozwinięte kraje kapitalistyczne. Sprzyjały mu niskie ceny paliw, niedobór siły roboczej i wysoki popyt na żywność. Poprzez integrację przemysłu i rolnictwa, krajom tym udało się zwiększyć produkcję żywności i dzięki nadaniu jej postaci maksymalnie przetworzonej, zmniejszyć straty.

Myśl o tym, żeby podobną drogą rozwijać polskie rolnictwo stała się po 1970 r. dominująca. Powstało sporo prac teoretycznych o różnej wartości (do historii nie tyle ekonomii co języka przeszedł pewien mój znajomy, autor określenia makrokompleks agropremysłowy). Rozpoczęto także przeobrażanie rolnictwa, które miało umożliwić „podłączenie” go do przemysłu. Powstał problem zwiększenia skali gospodarstw, aby mogły stać się kooperantem przetwórstwa. W dyskusji w latach 1971—1973 odrzucono koncepcję tzw. „farmerskiej drogi rozwoju”. Postawiono oprócz się na PGR-ach i spółdzielniach rolniczych. Koncentracji ziemi miały służyć także nowo utworzone SKR-y i zespoły indywidualnych rolników. Pozostałe gospodarstwa prywatne miały nastawić się na wąską specjalizację i współpracę z sektorem społecznym.

Powyższa koncepcja nie była kiepska. O jej niepowodzeniu czy nawet totalnej klęsce zdecydowały trzy sprawy: wygaszenie zielonego światła (może przepaliła się żarówka), pogorszenie bilansu paliwowego oraz kiepska organizacja i zarządzanie. Wszystkie uchwały o priorytecie dostaw dla rolnictwa kolejno pozostawały na papierze. W organizacji przedsiębiorstw rolnych dominował gigantyzm. Rozkojarzenie systemu cen uniemożliwiało rachunek ekonomiczny, co powodowało, że kierowano PGR-ami jak strażą pożarną. Psuł się bilans zbożowy, rozdzwaniały się telefony nakazujące rozszerzyć areal zbóż, zalało rzepak — zmieniano decyzje każąc produkować rzepak.

Równocześnie zaczęto fałszować obraz rolnictwa. Zaczęło się budowanie „wsi potiomkinowskich”. Przed przyjazdem Bardzo Ważnej Delegacji urządzano w GS-ach istne wystawy sprzętu rolniczego. Słynna jest już historia rolnika, który się uparł i — szantażując, że Gierkowi powie — podczas takiej ekspozycji kupił dojarę elektryczną. Mniej znany jest przypadek opisany przez „Gazetę Współczesną”. Wizytacja przed wizytą stwierdziła, że gospodyni jest mało reprezentacyjna. Dlatego postanowiono ją czasowo wymienić na ładniejszą (czyżby odrzut eksportowy z „Dziwexu”). I tutaj gospodarz nie wykorzystał okazji. Po zakończonym przeglądzie „zonę” oddał. A ja bym zatrzymał. A co, w końcu cztery ręce to nie dwie, zwłaszcza gdy za dniówkę przy pracach polowych po kilkadziesiąt złotych płacić trzeba.

Zielone światło się pali. Oby tym razem starczyło żarówek!

emzet

Ciąg dalszy ze str. 1

dzie akredytowanych było dobrych kilkuset zagranicznych dziennikarzy, którzy — zwłaszcza dziennikarze z Zachodu — mieli uszy pilnie nastawione i szczególnie polowali na różnego rodzaju „ciekawostki”. Ich relacje popłynęły i popłyną na falach eteru, często trudno będzie słuchaczowi odróżnić prawdę od fałszu. Dlatego w moim notatniku zamierzam powołać się na doniesienia krakowskiego dziennika, tym bardziej że i moi znajomi-delegaci udzielali mi zbliżonych informacji. Ci jednak prosili, abym o tym nie pisał — wobec nich muszę więc pozostać lojalny.

Notatnik rekonstruuje. Zapewne wyglądałby on inaczej, gdybym dosłownie pisał z dnia na dzień. Sądzę jednak, że dzięki temu będzie on nieco bogatszy. Oczywiście zdaje się sobie sprawę, że czytelnik chciałby przeczytać coś nowego, coś, czego nie było w prasie codziennej, w TV i w radiu. Ba! Zaległości w lekturze dzienników mam poważne, telewizję oglądałem prawie wcale, a radia nie słuchałem prawie nigdy. Powtórzeń więc zapewne nie uniknę, za co z góry przepraszam.

Obiecuję jednak, że postaram się nie nudzić. A więc cofamy taśmę. Jest dzień:

14 VII. Wtorek. Uroczyste otwarcie Zjazdu przewidziane jest na godzinę dwunastą, przedtem jednak odbywa się posiedzenie zamknięte, na którym m. in. większość głosów przechodzi wniosek o wprowadzenie do porządku obrad sprawozdania komisji do spraw rozliczeń pod przewodnictwem Tadeusza Grabskiego. Trwa dyskusja (poinformował o tym później dziennikarz rzecznik prasowy Zjazdu, Wiesław Bek) nad sposobem wyboru I sekretarza KC. Ostatecznie nieznaczna większość głosów postanowiono, że I sekretarza KC wybierze się po powołaniu Komitetu Centralnego spośród zgłoszonych przez KC co najmniej dwóch kandydatów — w wyborach tajnych i bezpośrednich. Za tym wariantem głosowało 925 delegatów. Natomiast aż 872 wypowiedziało się za wariantem pierwszym, czyli za tym, by najpierw wybrano I sekretarza, a potem Komitet Centralny. Ten rozrzut głosów był niezwykle wymowny i świadczył o niecodziennej atmosferze obrad.

Jeszcze inne sprawy proceduralne, mające na celu usprawnienie przebiegu obrad i wreszcie oficjalne otwarcie Zjazdu. Obecne są delegacje bratnich partii komunistycznych i robotniczych z krajów socjalistycznych. Największe okłaski otrzymuje delegacja radziecka z Wiktołem Griszynem, członkiem Biura Politycznego KC KPZR, I sekretarzem KM KPZR w Moskwie na czele i delegacja wietnamska, której przewodzą legendarny general Vo Nguyen Giap. Huragan braw zrywa się również wtedy, gdy Stanisław Kania wita Marszałka Polski, sędziwego Michała Rolę Żymierskiego.

Nie podejmuję się dokonać streszczenia referatu KC wygłoszonego przez Stanisława Kanię, ale pewne myśli z tego wystąpienia chciałbym wypunktować:

● Polsce i partii potrzebna jest głęboka analiza robotniczego protestu, kryzysu politycznego i gospodarczego.

● Realizacja porozumień jest jednym z podstawowych warunków wyjścia z kryzysu.

● Jesteśmy za konstruktywną rolą „Solidarności” w życiu kraju — linie podziału wyznaczają próby nadania jej charakteru partii politycznej.

● Własnymi siłami pokonamy zagrożenie socjalistycznego rozwoju Polski.

● Taka będzie Polska, jaką będzie partia.

● Nie da się osiągnąć stabilizacji bez przeprowadzenia reformy gospodarczej.

● Zjazd musi wytyczyć rzeczywisty priorytet rolnictwu i gospodarce żywnościowej.

● W sojuszu z ZSRR tkwi najważniejsza gwarancja niepodległości i bezpieczeństwa Polski — kto godzi w ten sojusz, godzi w podstawowy byt Ojczyzny.

● Zamknijmy Zjazd jako partia zjednoczona, odrodzona w marksizmie-leninizmie, wzmocniona demokracją i centralizmem.

● Ustanówmy trwale przymierze sił rozsądku i obywatelskiej odpowiedzialności dla ratowania narodu i państwa przed chaosem i upadkiem jego sił.

Po wystąpieniu Stanisława Kania (niecałe trzy godziny) — przewodniczący Komisji Mandatowej, gen. Wojciech Barański, składa sprawozdanie, z którego też warto pewne dane przytoczyć:

● W Zjeździe uczestniczy 1955 delegatów (siedmiu nieobecnych z powodu choroby).

● Wśród delegatów: 438 robotników, zatrudnionych bezpośrednio w produkcji, transporcie, budownictwie i usługach, w tym dwóch rzemieślników, co w sumie stanowi 22,3 proc. ogółu mandatariuszy.

● Wiejskie organizacje partyjne reprezentuje 180 rolników indywidualnych i 15 członków rolniczych spółdzielni produkcyjnych (w sumie 9,2 proc. delegatów).

● Delegaci wywodzący się ze środowisk inteligencji pracującej stanowią 66,7 proc. ogółu mandatariuszy (wśród nich m. in. 118 profesorów, doktorów habilitowanych i doktorów, 17 dziennikarzy).

● Najwięcej delegatów (784) mieści się w przedziale wieku 40—49 lat.

● Kobiet-delegatek jest 108 (5,5 proc.).

● Wśród delegatów do Niezależnych Samorządnych Branzowych Związków Zawodowych należy 56 proc., natomiast do NSZZ „Solidarność” — 20,6 proc., zaś do Autonomicznych Związków Zawodowych — 0,9 proc., a do Centralnego Związku Kółek i Organizacji Rolniczych 4,7 proc. przy 0,5 proc. członków NSZZ Rolników Indywidualnych „Solidarność”.

● Delegaci wybrani na Zjazd po raz pierwszy stanowią 91 proc. mandatariuszy.

Rozpoczyna się dyskusja. Padają w niej często słowa ostre, język wystąpienia jest różnicowany, wiadać, że nie pracowała nad nimi ręka jednego adiustatora. Okłaski są, owszem, ale nie w nadmiarze. Ręce od nich, jak to drzewię bywało, nie puchną.

Dramatyczne przemówienie wygłasza delegatka ze Zgierza, Henryka Kubiak, kierowniczka magazynów w Zakładach Przemysłu Odzieżowego „ZETA” w Zgierzu:

„Karygodnie niedbale i nieodpowiedzialnie wprowadzona regulacja, panika na rynku, szerząca się spekulacja rodzą najgorsze przeżycia w społeczeństwie. Ludzie jakby zatracają poczucie człowieczeństwa, wypędzając z kolejk słabych i starych, mnożą się akty wandalizmu, chuligaństwa, zwykłego bandytyzmu. [...] Kiedy kobiety pracujące na trzy zmiany, zmęczone, wyczerpane codziennym znojem mają znaleźć czas dla rodziny, dla dzieci i dla siebie? [...] Przez wiele lat słyszeliśmy, że wszystko w naszym kraju robi się po to, aby Polska rosła w siłę a ludzie żyli dostatniej. Świadomość, że było to puste hasło, dotarło do nas znacznie później, dziś wiemy, że jeszcze bardzo długo nie będziemy żyć w dostatku, a może dopiero następne pokolenie. [...] My, robotnicy, potrafimy wszystko zrozumieć, dużo wybaczyć, jesteśmy ofiarni, ale złej pracy, złej jej organizacji i złej woli nie wybaczymy. Przeżyliśmy po wojnie wiele kryzysów, wiele tragedii widzieliśmy w ostatnich latach. Tak naprawdę, mimo pięknych haseł na nasz temat, niewiele się dla nas zrobiło i wykorzystywano nas jako fałszywą oprawę dla dostojnych wizyt. Nie może się taka sytuacja

nigdy więcej powtórzyć. To jest partia nasza, robotnicza i my chcemy mieć w niej głos decydujący. Nie o nas bez nas, wtedy nie dojdzie do żadnych wypaczeń i nieprawidłowości”.

Z dyskusji w czasie pierwszego dnia obrad notuję jeszcze:

„Nikt nie może liczyć na naszą pobłażliwość, jeśli podburza przeciwko naszemu ustrojowi, przeciw partii, przeciw sojuszu, zwłaszcza ze Związkiem Radzieckim i polsko-radzieckiemu braterstwu broni”. (Józef Baryla, wiceminister Obrony Narodowej, szef GZ WP).

„Zakończenie procesu rozliczeń jest jednym z elementarnych warunków przywrócenia partii właściwej, wynikającej z zasad ustroju socjalistycznego pozycji”. (Henryk Bednarski, I sekretarz KW PZPR w Bydgoszczy).

„Potrzebna nam jest partia komunistyczna, aby wspólnie z komunistami całego świata, zwłaszcza z największą partią — partią radzieckich komunistów bronić naszego europejskiego i światowego pokoju. Teoretycy mówią o awangardzie klasy robotniczej. Popatrzmy, co jest z tą awangardą na co dzień, w życiu, jaka ta awangarda, organizowana przez partię jest, jak i kto ją sobie dobrał i po co? Awangarda to ci, z pióropusznami w błyszczących kaskach, w pierwszych rzędach, z piersiami okrytymi orderami i odznaczeniami, ci potulni i potakujący? A może to ci najbardziej gniewni, czujący i rozumiejący więcej, dlatego zbuntowani, niespokojni, niezadowoleni?” (Jan Łabęcki, I sekretarz KZ PZPR Stoczni Gdańskiej im. Lenina).

„... jeśli szybko nie zostanie wprowadzona reforma, to wkrótce nie będzie już czego reformować, bo gospodarka rozkłada się w przyspieszonym tempie. Niestety, są ludzie, a wśród nich także niektórzy doradcy b. rządu Piłkowskiego i obecnego rządu gen. Jaruzelskiego, którzy nie chcą unać tych oczywistych prawd. Ludzie doradzający rządowi, aby czekały z reformą na przywrócenie równowagi gospodarczej, ponoszą w dużej mierze odpowiedzialność za pogłębiający się po sierpniu ub. roku kryzys gospodarczy i za całkowity rozkład naszej gospodarki. Powinni zatem oni zostać natychmiast odsunięci od wszystkich prac nad reformą gospodarczą, jest to jeden z istotnych warunków prowadzenia reformy”. (Józef Kaleta, rektor Akademii Ekonomicznej we Wrocławiu, przewodniczący WRN).

„Towarzyszu premierze! Użyjcie swojego generańskiego autorytetu, pomieszajcie trochę w administracji państwowej i gospodarczej, dajcie odpocząć ludziom, którzy są zmęczeni. Nowy Komitet Centralny na pewno w tym wam pomoże”. (Kazimierz Minior, I sekretarz KF PZPR w Hucie im. Lenina w Krakowie).

Pasja. Zarliwość. Szerokość. Ale czasami i demagogia. „Takiego zjazdu jeszcze nie było” — komentujemy w kuluarach. Wiele też się mówi o wystąpieniu przedstawiciela KC KPZR, Wiktora Griszina, a zwłaszcza zwraca się uwagę na ten fragment jego wystąpienia, w którym stwierdził on, że „niezależnie od wagi popełnionych błędów komunistów polscy są w stanie przywrócić partii autorytet w społeczeństwie, odzyskać zaufanie mas ludowych. [...] Wierzymy, że PZPR potrafi przezwyciężyć obecny ciężki kryzys, udzielić odprawy ofensywie kontrrewolucji, nadal prowadzić kraj drogą wszechstronnego postępu i rozkwitu ludowej, socjalistycznej Polski”.

Wieczorem wracamy do hotelu „Europejskiego”, gdzie zamieszkała większość dziennikarzy prasy krajowej. Oczywiście jest wielu znajomych. Do starych znajomości dochodzą nowe. Nie ma co ukrywać: pomaga w tym plyn, którego tu — zwłaszcza z uwagi na cenę — nadużywać nie można. Ale pięćdziesiątka czystej (za złotych 60) zmieszana z setką soku pomarańczowego (za złotych 32) naprawdę orzeźwia, zwłaszcza, gdy napój przyrządza pani Anna...

15 VII. Środa. Dwugodzinne posiedzenie przy drzwiach zamkniętych dotyczy kwestii proceduralnych. O 10.30 rozpoczynają się o-

brady plenarne. Trzecim z kolei mowca jest w tym dniu **Marian Marek**, kontroler jakości, brygadista w lubelskiej FSC.

„Nadzwyczajne obrady najwyższej władzy partii — mówi na wstępie — toczą się w pierwszej rozpiętej protestu robotniczego wyrażenie na terenie Lubelszczyzny wśród załóg Swidnika i Lublina, a wśród załóg, które kierownictwo PZPR nazwane zostało zarazą lubelską. Był to protest skierowany nie przeciwko ustrojowi i zasadom socjalizmu, ale przeciwko łamaniu zasad, przeciwko szarganiu zasad ustrojowych...”

**Marian Marek** wiele uwagi poświęca problemom motoryzacji, podkreśla, że nawet w zakresie pojazdów licencyjnych notuje się stały regres w poziomie jakości. Przyczyną tego stanu rzeczy są zarówno czynniki subiektywne jak i niedostatek w wyposażeniu kontrolno-pomiarowym i badawczym. Istotnym hamulcem ilościowego rozwoju produkcji taboru samochodowego jest wysoka importochłonność, szczególnie w zakresie pojazdów licencyjnych. Kolejnym problemem wymagającym pilnego rozwiązania jest gospodarka paliwowa: większość krajowego taboru samochodowego jest wyposażona w silniki benzynowe, zużywające ogromne ilości deficytowych, wysokooktanowych paliw. Dyskutuje się na ten temat, ale efektów brak.

Z innych głosów:

„Od lat szcycimy się wysoko rozwiniętym przemysłem budowy okrętów. Nasze stocznie to przedsiębiorstwa o wyrobionej, dobrej marce w świecie. Coż z tego, skoro w dotychczasowej praktyce naszego handlu zagranicznego lepszym partnerem do rozmów był byle jaki armator zagraniczny, niż poważny, liczący się, armator krajowy. Jak znaleźć rozsądną odpowiedź na pytanie, dlaczego, aby zbudować statek polski, armator musi szukać zagranicznych stoczni? Rzucone onegdaj hasło — statki z polskich stoczni dla polskich armatorów — jest wciąż sloganem bez pokrycia”. (**Marian Otawa**, nawigator PZM w Szczecinie).

„Stawiam wniosek, aby za priorytety narodowe uznać sprawy wyżywienia narodu, ochrony zdrowia, budownictwa mieszkaniowego, oświaty i nauki. Jest to program niezbędnego minimum...” (**Andrzej Gzula**, I sekretarz KW PZPR w Bielsku).

„Członkowie partii, szczególnie robotnicy, oczekują od nas opracowania deklaracji ideowej partii: o co walczymy i dokąd idziemy — i to nie w formie opasłych tomów, lecz w formie zwartej, prostej, łatwo przyswajalnej jak Manifest Lipcowy” (**Jan Janicki**, dyr. Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego w Ostrowie Wlkp.).

„Legitymacja partyjna nie może być dłuższą tarczą chroniącą przed odpowiedzialnością. Społeczeństwo musi wiedzieć, że ci, którzy z jego woli rządzą tym krajem, w pełni na ten zaszczyt zasługują”. (**Aleksander Luckoś**, ślusarz narzędziowy w Zakładach „MERA-PAFAL” w Swidnicy, woj. wałbrzyskiej).

„Odwołuję się z tej trybuny do społeczeństwa, a przede wszystkim do świata nauki, który mylnie informuje naród o działalności rolnej gospodarki uspołecznionej. Po odpowiedzi należy pojechać blisko: do NRD, Czechosłowacji, na Węgry, gdzie polki uginają się od artykułów żywnościowych, a nasi bracia Węgrzy oprócz olbrzymiej produkcji żywnościowej dla własnego kraju uzyskują ogólnie ok. 22 proc. obrotów wpływów eksportowych ze sprzedaży artykułów żywnościowych. Lza się w oku kręci! I pomyśleć, że właśnie w tych krajach gospodarka uspołeczniona w rolnictwie stanowi prawie 90 proc. całego rolnictwa. Warto zatem podpatrzyć, jak oni to robią, bo do nich to przecież bardzo blisko i lani koszt podróży”. (**Michał Chodorowski**, dyrektor PGR Szestno, woj. olsztyńskiej).

„Ba! Jak oni to robią? Też się nad tym zastanawiałem już niejednokrotnie, nie sądzę jednak, by w tych krajach przemysł jedynie czterech procent swojej produkcji przeznaczał dla potrzeb rolnictwa... No i trzeba uwzględnić to, o czym wspominał **Zbigniew Ciechan**, sekretarz KZ PZPR w Zakładach

Włókien Chemicznych „CHEMITEK-ELANA” w Toruniu: „Chłop polski wykoła historycznie ukształtowane bardzo silne przywiązanie do indywidualnej własności ziemi, o co rozbiły się próby powojennej kolektywizacji rolnictwa...”

Tematy przepiękają się. Przeszłość, teraźniejszość, przyszłość. Przeszłość powraca w części wystąpienia **Andrzeja Morawskiego**, prezydenta Radomia. Mówi, jak to po wydarzeniach radomskich w 1975 roku odbył się wiec potępiający: „Prezydent miasta wygłosił przemówienie. Charakterystyczna twarz na telewizyjnym ekranie, głos i troska o najbliższe losy miasta towarzysza prezydenta Karwickiego była autentycznie naszą, radomską. Natomiast tekst — opracowany przez towarzyszy z centrali. Ubiżono naszemu społeczeństwu, naszej klasie robotniczej, naszej radomskiej ziemi. Dziś prezydent miasta Radomia przemawia na Zjeździe, przemawia własnym głosem i własnym tekstem...”

Poruszenie na sali: głos zabiera wicepremier **Mieczysław Rakowski**. Jest to nie tyle przemówienie, ile może raczej artykuł publicystyczny.

Cytuję fragment ze stenogramu: „Mówiąc o najbliższej przyszłości chciałoby się zawołać: przestańmy się bać! Przestańmy się bać rolników, którzy chcą gospodarować po swojemu. Przestańmy się bać podnieść cenę prenumeraty, żeby było z czego zapłacić listonoszom za dzwiganie ciężarów. Przestańmy się bać bodźców i samodzielności. Przestańmy się bać tych, którzy nas straszą, że bez nich się zawali. Przestańmy się bać się myśleć i działać na miarę tego, co się stało. Kiedy przestaniemy się bać inicjatywy i nowatorstwa, kiedy przestaniemy się bać ludzi, którzy nie czytają z naszej kartki, to nie będziemy musieli się bać przeciwników socjalizmu, gdyż pokonamy ich metodą najbardziej skuteczną, pokonamy ideologicznie i politycznie”.

„Gazeta Krakowska” obliczyła później, że oklaski po przemówieniu **Rakowskiego** trwały 42 sekundy. Może. Nie nastawiłem stopera. Tak zupełnie jednak na marginesie przypomniało mi się wystąpienie **Rakowskiego-dziennikarza** w TV, a było to w czasie jednego z pamiętnych dni sierpniowych ub. r. Kto się wówczas najbardziej bał? No kto?

Wracam do hotelu, bo w godzinach wieczornych odbywa się znowu zamknięta część obrad. Nie jestem korespondentem dziennika, nie muszę się spieszyć i sterceć pod licznymi drzwiami Sali Kongresowej, czytając na to, by pojawił się jakiś znany mi delegat i racyli uchylić rąbka tajemnicy. A działa się rzeczywiście rzeczy ciekawe. Już po północy dowiem się z radia o usunięciu z szeregu partii **Edwarda Gierka** i wielu spośród jego ekipy, wcześniej odsuniętych od władzy. Następnego zaś dnia w światku dziennikarskim wiadomości będą krążyć z ust do ust. Niejako uprawnieni je „Gazeta Krakowska” w swych materiałach z 16 i 17 lipca. Teraz więc, 22 lipca, uzupełniam relację z drugiego dnia obrad (niejawnych), nie zakończonych całkowicie po północy, a przelożonych na dzień następny. Uzupełniam właśnie na podstawie dwóch wspomnianych numerów „Gazety Krakowskiej”.

„Gazeta” stwierdza, że w ramach dwóch minut repliki **Ireneusz Gwidon Kamiński**, literat ze Szczecina (nie mylić z naszym **Ireneuszem J. Kamińskim**) zaatakował **Rakowskiego** za to, że nie dostrzega on („Gazeta” napisała: „insynuując m. in., że nie dostrzega on”) klasowego charakteru partii oraz że **Jakoby Rakowski** rozpoczął w korytarzu kampanię wyborczą. „Głos szczecińskiego literata został zle odebrany przez salę. Gdy próbował kontynuować wypowiedź, sala przerwała mu oklaskami, zagłuszając dalsze słowa. **I. G. Kamiński** to było jednak małe piwo. W czasie obrad wrócił wątek o „komisji Grabskiego”. Pewien z delegatów, prawnik z zawodu, zażądał przeprowadzenia procesu **Piotra Jaroszewicza**. Jedna z delegatek zawołała: „Protestuję przeciwko zarzucaniu delegatom, że są po prostu mściwi. Nie z mściwości wynika taka postawa, ale z poczucia odpowiedzialności!”

Z minuty na minutę dyskusja stawała się coraz bardziej gwałtowna. W ferworze burzenia na byłe kierownictwo jeden z delegatów zażądał ukarania winnych począwszy od 1948 roku za wszystkie kolejne kryzysy. Kolejny dyskutant skrytykował **Tadeusza Grabskiego** i Biuro Polityczne za mierne wyniki ich pracy, za przeciąganie spraw. Inny delegat zażądał oświadczenia, że obecni członkowie Biura Politycznego są „czyści” i że ich również „zbadano”. Podenerwowana kobieta zwróciła się do **Mieczysława Moczara** i zażądała, by wypowiedział się w tych sprawach. Padły różne propozycje: zaprosić, wezwać **Edwarda Gierka** i innych na Zjazd, wykluczyć ich natychmiast, nie czekać i nie zastanawiać się, czy jest to pod względem formalnym dobre.

Nurt rozliczeniowy (cały czas cytuję „Gazetę Krakowską”) i ciśnienie delegatów na dokończenie tej sprawy na Zjeździe zamieniło się w sformułowanie, by Prezydium Zjazdu zaproponowało wnioski o pozbawienie legitymacji partyjnych byłych przywódców. Ponownie wróciły jednak pytania do **Tadeusza Grabskiego**, aby powiedział prawdę i nie stwarzał wrażenia, że ktoś mu każe milczeć.

Oto wypowiedź **Grabskiego**: „Proces rozliczeń trwał bardzo długo i nie uwłamygodnia partii i jej kierownictwa. Ale komisja została powołana dopiero na X Plenum KC — zbyt późno. Nie można więc jej winić za niewykonanie zadań. Jej zadaniem było przecież przyspieszenie dokonania rozliczeń przez CKKP, NIK oraz ustalenia odpowiedzialności partii i państwa. Dyspozycja wobec komisji była taka, że rozpatruje działalność kierownictwa w okresie do VI Plenum KC i odpowiedzialność byłego kierownictwa. Nie można więc jej zarzucić, że nie zajęła się odpowiedzialnością za konflikt na Podbeskidziu. Poza tym komisja miała ustalić winę, a nie karać. Od tego jest CKKP. Co mówił **E. Gierk**? O zadłużeniach kraju dowiedział się przypadkowo w 1978 r... **Lukasiewicz** — nie miał do dyspozycji protokołów z Radiokomitetu, bo ich nie otrzymał. **Wrzaszczyk** — nie poczuwa się do winy, bo zastał gospodarkę rozłożoną. Robił, co mógł, ale nie dał rady więcej zrobić. Cały materiał z przesłuchań wynosi około 700 stron oraz 1000 stron oświadczeń byłego kierownictwa. Komisja nie jest zwierzchnikiem NIK-u, więc niech **Mieczysław Mocz**ar złoży oświadczenie w sprawach NIK-u”.

**Mieczysław Mocz**ar, zabierając następnie głos, stwierdził, że nie pierwszy raz obciąża się partię za wszystkie winy, że pracuje w NIK-u już dziesięć lat i uszarpał się dostatecznie w tej pracy. Zarowne „komisja Grabskiego” jak i CKKP miały dostęp do wszystkich dokumentów NIK-u. Dodał, że takie same dokumenty są dostępne komisjom sejmowym. W każdej chwili mogą z nich korzystać. Wspomniał, że dwa razy rozmawiał z **E. Gierkiem**. Pierwszy raz w 1970 roku, kiedy to **Gierk** powiedział: „Albo ja, albo ty sekretarzem”. Drugi raz w maju 1980 roku. Była to burzliwa rozmowa.

Drugi dzień obrad zakończył się ostatecznie, o czym wyżej, usunięciem z partii **Gierka**, **Babiucha**, **Zandarowskiego**, **Lukaszewicza**, **Szydłaka** i **Pyki**, a także zatwierdzeniem decyzji katowickiej organizacji partyjnej, która wykluczyła z partii **Grudnia**.

Na 1935 delegatów tylko pięciu było przeciw, a 46 wstrzymało się od głosu.

18 VII. Czwartek. Kontynuuję za „Gazetą Krakowską”. Zaczęła się procedura zgłaszania uwag i pytań pod adresem kandydatów do władz partii.

Pytanie pod adresem **Henryka Jabłońskiego**: Dlaczego zmienił zdanie? Mówił, że nie będzie kandydował, to stwierdzenie ukazało się oficjalnie w prasie...

**Henryk Jabłoński** oświadczył, że wytworzyła się zupełnie nowa sytuacja. Gdy go poproszono, zdecydował się na kandydowanie w Tarnowie.

W tej sprawie zabrał głos delegat z tego miasta, **J. Maniawski**, stwierdzając, że to partyjni regionu zgłosili **Henryka Jabłońskiego** jako symbol ciągłości ruchu robotniczego w Polsce. Taka etagłość jest potrzebna.

Ktoś skierował pytanie pod adresem prokuratora generalnego, **L. Czubińskiego**: Czy zostało rozpoczęte dochodzenie w sprawie **E. Gierka**? Jeśli prokuratura wiedziała o willi **E. Gierka** i związanych z tym nadużyciach, to czy nie powinna sama rozpocząć dochodzenia?

**L. Czubiński** oświadczył, że na zbadanie wszystkiego trzeba czasu i obiektywizmu. Zwraca uwagę, że chodzi o zebranie materiałów z 1970 roku.

Jeden z delegatów wprowadził nowy wątek: poprosił, aby na listach wyborczych zaznaczyć, którzy kandydaci pełnią aktualnie funkcje w centralnym aparacie władzy. Takiej informacji brak. Dodał również, że członkowie rządu nie powinni kandydować do władz centralnych partii.

**Kazimierz Barcikowski** powiedział, że nie ma rządzącej partii na świecie, która nie desygnowałaby osób do pracy w rządzie. Nie wybiera sobie takiej sytuacji. Jest tylko inne pytanie, bardziej kluczowe: ilu ich ma być i jakie stanowiska powinni zajmować. Ministerstwo Spraw Zagranicznych czy Obrony Narodowej oraz Spraw Wewnętrznych nie mogą pozostać nie obsadzone przez partię rządzącą. W naszym przypadku takim kluczowym stanowiskiem jest jeszcze resort rolnictwa i gospodarki żywnościowej. Szef tego resortu musi mieć pozycję polityczną, aby trudne w naszej sytuacji sprawy załatwić.

Z kolei delegat z Zielonej Góry zadał pytanie ministrowi **A. Jedynakowi**, czy brał udział w pertraktacjach z firmami „Berliet” i „Steyer”? Min. **Jedynak** odpowiedział krótko: Z „Berlietem” — tak, ze „Steyerem” — nie.

W dalszej części dyskusji zaatakowano **M. Jagielskiego** za odpowiedzialność w sprawie polityki licencyjnej, pytając, jaki miał na to wpływ.

**M. Jagielski** oświadczył, że polityka licencyjna była określona według planu budowanego od dotu, od zakładów pracy, zaś po konsultacjach i opiniowaniu przez Ministerstwo Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki decyzję były zatwierdzone przez rząd.

Replikował **Roman Ney**, który zwrócił uwagę na fakt, że nie byłby w zgodzie ze swoim sumieniem wobec nieżyjącego już ministra prof. **Kaliskiego**, gdyby stanowczo nie powiedział, iż to ministerstwo nie brało udziału w zakupach licencyjnych. Zawsze o tym decydowała Komisja Planowania.

Ponownie zabrał głos **M. Jagielski** i usiłował złożyć sprostowanie, że w swej wypowiedzi nie obarczył Ministerstwa Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki.

Wówczas delegat z bielskiej „BEFAMY” w napięciu zapytał **M. Jagielskiego**: „To wyście akceptowali przecież tę politykę licencyjną, a w tej chwili chcecie się z tego wycofać? Więc kto jest odpowiedzialny?”

W odpowiedzi **M. Jagielski** powiedział, że w swej wypowiedzi nie chciał sugerować, że jest niewinny. Po tej dyskusji, jakże kontrowersyjnej, przyjęło w jawnym głosowaniu listę kandydatów do władz partyjnych (KC, Centralnej Komisji Kontrolnej Partyjnej i Centralnej Komisji Rewizyjnej), która objęła łącznie 618 nazwisk.

Po południu obrady toczą się w szesnastu zespołach problemowych, natomiast po godzinie 22-ej rozpoczyna się kolejna zamknięta część obrad — wybory do centralnych instancji PZPR.

Nie tu po mnie. Powrót do hotelu i interesujące rozmowy już nie tylko w gronie polskich dziennikarzy. Poznaje **Jana Nyberga** ze Sztokholmu, który pomaga swemu koledze z agencji w tłumaczeniu tekstów. **Nyber** znakomicie włada językiem polskim, przez dwa lata studiował na Uniwersytecie Jagiellońskim. Interesuje się poezją Mitosza, przekładał jego utwory na szwedzki. Jest **Miroslav Milin**, wyślanik „Devnika” z Nowego Sadu w Jugosławii, który również włada

Dokończenie na str. 4

# Nasza krowa katedralna

Dokończenie ze str. 1

w dyrekcji przedsiębiorstwa 9 osób: dyrektor, zastępca do spraw produkcji, ekonomista, kontroler, dwaj specjaliści — do spraw produkcji roślinnej i zwierzęcej, laboranta, sekretarka i kierowca. Ale żeby zakłady mogły przejść na pełny rozrachunek własny, potrzebna decyzja resortu. I nie jest to takie proste, gdy centralizacja zaszła już tak daleko. Bo powiedzmy, jedno gospodarstwo miałoby piękny warsztat, za duży jak na jego potrzeby, inne zaś wielką oborę i nie byłoby w stanie wykarmić własnymi siłami swego bydła. Centralistyczna infrastruktura mści się teraz.

— Ale samodzielność i rozrachunek trzeba i można dać zakładom mimo wszystko — upiera się Wilczek. — Da się przecież zrobić dla nich plany wycinkowe z zadaniami i niech realizują je na własny rachunek. Wypracują, mają premie. Premie w zakładach powinny być zróżnicowane wedle wkładu pracy, a nie naliczane na zasadzie „urawniłowki” w całym przedsiębiorstwie. Ale ja w tej chwili tego nie mogę zmienić, bo przepisy resortowe nie pozwalają. Może być między zakładami zróżnicowanie premii 30-procentowe. Lecz jeśli ja bym jednemu dodał te 30 procent, musiałbym odjąć innym. Wyobraź sobie, jaka byłaby awantura, nienawiści! Tego unika się jak ognia, więc w praktyce się nie różnicuje i jest „urawniłowka”. Zakłady nie są samodzielne, nie mają osobowości prawnej i pracują pod dyktando dyrekcji przedsiębiorstwa. Ten system jest niedobry, nie wyzwala ambicji, inicjatywy, zabija chęć w ludziach do wysiłania się w robocie. Kierownik zakładu zawsze może schować się za plecami dyrektora, wykonuje przecież tylko jego polecenia, i jest zwolniony od myślenia. Bywa, że dobry kierownik zrobi u siebie szybciej orki i nie zgłasza tego dyrektorowi, bo musiałby wówczas pomagać swymi ludźmi i sprzętem powolniejszym zakładom. Rozumie pan to wszystko? Dlatego ja jestem za samodzielnością zakładów i zadaniami wycinkowymi dla ich.

Ekonomiki rolnej uczył się Wilczek u profesora Manteuffla, który mówił tak: „Organizować gospodarstwo trzeba od ustalenia potrzebnej ilości obornika, a obornik oplaca się wywozić najdalej do 3 km i z takiej odległości jeszcze oplaci się zwozić pasze i w ogóle ziemiopłody”. Wilczek dobrze pamięta tę maksymę i wie, że przy większych odległościach trudno liczyć na zyski. Pożrą je koszty transportu nie tylko obornika i ziemiopłodów, także ludzi, których trzeba dowozić na miejsce pracy. O tym wszystkim zapomniano przy tworzeniu pegeerowskich gigantów.

Zresztą zatracono w państwowym rolnictwie sens produkcji samego obornika. W wielkich oborach bezściółkowych rozrzedza się wodą obornik na gnojnicę. Nie ma obornika, nie ma w glebie mikroelementów, które są dla niej tym, czym witaminy w organizmie ludzkim. Z braku mikroelementów rośliny strasznie chorują — stwierdza Wilczek — następuje rozwój grzyba, bakterii, wirusów.

— Dlatego my nie mamy wyższych plonów niż chłopci, bo nie mamy obornika. Chłop chociaż raz na pięć lat da glebie obornik, a PGR nie.

On tu w jednym z zakładów ma oborę na 340 sztuk, przy której nie ma gnojowni dla dojrzenia i odsączenia obornika. Więc wywozi się skwaśniały nawóz w pole, nie nie warty. A jeśli w porę dać ziemniakom dobrego obornika, plon jest o 100 kwintali z hektara większy, rzecz sprawdzona, turowana. To wywożenie skwaśniałego, bezzużytecznego obornika z tej obory kosztuje rocznie około 300 tysięcy. I Wilczka szlag trafiła, że nikt tu przed nim nie pomyślał, że za 300 tysięcy można zrobić przyzwoitą gnojownię i mieć pożytek zamiast straty. I on ją zbuduje.

Pamięta, że w Lipowie na trzy czwarte pastwiska dali obornik, a na czwartą ćwiartkę nie. Tam, gdzie było nawożone, krowy jadły pięknie, bo trawa urozmaicona. Gdzie nie dano obornika, nawet nie tknęły. Stanowczo zbyt wiele obornika marnuje się w pegeerach.

Wiem o tym, bo widziałem na własne oczy te wielkie fermy przemysłowe typu „UO-500” na 500 krow i płynące z nich potoki śmierdzącej i zatrzymującej środowisko gnojowicy. Są to kosztowne inwestycje, jedno miejsce dla krowy pod dachem takiej fermy kosztuje 120 tysięcy złotych, pięć razy tyle, co dobra krowa (gdy np. Szwedzi holdują zasadzie, że stanowisko hodowlane w oborze nie powinno być droższe od krowy). Rozmawiałem z obsługą „UO-500” w Kolkowie koło Wejherowa. Pokazano mi wady obiektu. Kanały gnojowe zapychają się i trzeba je oczyszczać, co jest piekielnie trudne, gdyż projektanci nie przewidzieli studzienek rewizyjnych. Pegeerowcy zamierzali wykonać je na własną rękę, by ułatwić sobie pracę.

W tradycyjnej oborze jeden człowiek obsługuje 15–20 krow. A w „UO-500”? Jak się policzy dojarzy, karmiących krowy i dowożących pasze, wywożących gnojnicę, jak się doda obsługę weterynaryjną, techniczną (palacze, hydraulik, elektryk), to okazuje się — żadnych oszczędności w zatrudnieniu nie ma. Tak samo na jednego człowieka przypada 20 zwierząt. Pewnie, że pracuje się ciężko. Nie trzeba przetrzącać gnoju widłami. Ale całkiem o widłach nie zapomniano. Służą do zrzucania z ciągnikowej przyczepy zielonki do żłobów.

Wydajność mleka od krowy w Kolkowie — 2900 litrów rocznie. Wilczek mi na to, gdy opowiadam, że jak na „UO-500” jeszcze i tak dobrze, widać, że tam obsługa się stara. Bo gdzie indziej w oborach tego typu średnia mleczność nie przekracza 2500 litrów. Wprawdzie technologia „UO-500” zakłada wydajność 4500 litrów od krowy, ale każdy dyrektor PGR w Polsce uważa taką ilość za senne marzenie. Technologia nakazuje w dodatku wymianę co roku 25 proc. stada czyli właściwie tylko 75 proc. produkuje mleko, bo nowe krowy muszą się najpierw przystosować do warunków zanim dadzą go więcej. W wyniku takiej rotacji po czterech latach powinna być wymieniona cała stawa zwierząt. Brak w tym logiki, bo krowa najwięcej mleka daje w wieku 7 lat. Na szczęście mimo nakazu technologicznego żaden dyrektor nie pozbywa się najlepszych krow, bo inaczej rozłożyłby hodowlę i siebie samego.

Wilczek powiada, że zwierzęta, tak jak i ludzie, źle znoszą nadmierną koncentrację. Poza tym polska krowa ma to do siebie, że lubi mieć ściółkę pod racicami, ciepło i sucho. Zie natomiast znosi ruszty i wielkie hale. Fakt. Przecież widziałem obo-

ję na 120 sztuk, była ściółka, ciepło i sucho. No i było mleko — po 6 tys. litrów od krowy rocznie. Zastanawiamy się z Wilczkiem nad modami w naszym rolnictwie, nad pseudonowoczesnością. Na tych oborach przemysłowych najlepiej wyszli projektanci, bo przecież nie rolnicy. Wiadomo, oni są płatni od wartości inwestycji: im drożej projektują, tym lepiej się mają.

— Im to by się opłacało projektować obiekty ze szczerobłotnych cegieł — sarkastycznie stwierdza Wilczek. I opowiada mi, że przecież można inaczej. Był na Węgrzech i tam widział fermę na 1200 krow, ale pomyslaną z głową. Było 10 pawilonów, każdy na 120 sztuk. I to taniutkich pawilonów, bo Węgrzy inwestują w hodowlę, a nie w mury. Ściany z pustaków żużlobetonowych, otynkowane, a dach z żerdzi i trzciny, która jest świetnym izolatorem. Taki dach co 25 lat wymienia się na nowy, stary idzie na opał. Wewnątrz prosta mechanizacja: szynowa kolejka na pasze. A obornik wypycha się spychaczami na wielką piytę gnojową na zapleczu fermy i on sobie tam dojrzywa, by potem użyć pola i użytki zielone wokół fermy. Wewnątrz pawilonu rura z wodą, która ogrzewa się od otoczenia. Do pojenia i mycia krow, które czyszczy się też... odkurzaczami. I one zawsze czyszczone, piękne. Obsługa takiego pawilonu ze 120 krowami to raptem 2 ludzi. Mają pod opieką po 60 zwierząt. Z obu stron pawilonu są zbiorniki na mleko. Każdy pracownik doł do swojego. Po każdym udoju przychodzi zootechnik z laborantem, oceniają od razu ilość i jakość mleka w obu zbiornikach. I wedle tego wynagradzani są oborowi. Wiedzą więc, po co i za co pracują.

— Tak, tak — mówi Wilczek — prosto, tanio, efektywnie. Węgrzy się nauczyli, a my wciąż modernizujemy.

Po tym pobycie na Węgrzech on u siebie, wówczas w Drulitach, próbował to i owo zmienić. Był tam nieudany cielętnik, zwierzęta w nim zdychały. Taniem kosztem przerobił go na tuczarnię trzody i tuczniaki pięknie w nim przyrastały. Starą stodołę przerobił zaś na cielętnik. Tak szczerze mówiąc, to właściciel nie był przeróbka, lecz cicha inwestycja. Zrobił podwójne, ocieplone ściany, drewniany strop i skończyły się upadki cieląt. Przedsiębiorstwo Budownictwa Rolniczego, które to wykonywało według jego pomysłu, spisało się gracko — cielętnik był gotów rok przed terminem. Okręgowe Przedsiębiorstwo Hodowli Zarodowej przyznało za ten cielętnik, nagrody. Ale czepił się bank, że dzika inwestycja i rąbnął inwestorowi i wykonawcy po 2 miliony kary. Jeździł Wilczek, odkręcał, tłumaczył bankowcom, że cielęta zdychały masowo, a teraz rosną pięknie i stało się to niedużym kosztem. Zrozumiełi, anulowali kary. Ale Okręgowe Przedsiębiorstwo Hodowli Zarodowej cofnęło swe nagrody.

— No cóż — wzdycha Wilczek — u nas takie przepisy, że musi być kosztowna dokumentacja kosztowna inwestycja, masa papierków, podkładek, a jak obiekt się nie uda, wszystko spada na głowę dyrektora PGR.

Mało kto się liczy z potrzebami rolnictwa. Kolej na przykład. Jest bocznicą kolejowa. Ale wagony z nawozami dostarczono im do miasteczka, odległego o 70 km. Cały dzień kursowały ich ciężarówki i ciągniki, by zwieźć nawozy jak najszybciej i nie płacić osiowego. Na paliwo poszło 30 tys. złotych. A to przecież nie jedyny koszt. Eksploatacja pojazdów też kosztuje. No i ciągniki oderwano od pracy w polu i powstały zaległości. A przecież te wagony z nawozami przejeżdżały tuż obok gospodarstwa. Nie można było ich zostawić na bocznicę? Ale kolej ma swoją politykę i ona stawia warunki.

# RZECZPOSPOLITA KULTURY 1944

Dokończenie ze str. 1

przełożonych, pracownicy różnych instytucji składali „na Warszawę”, jakby nawiązując do tradycji z 1918 roku, kiedy to w podobny sposób wspierano formujące się wojsko polskie... Zbiórka zorganizowana przez Związek Patriotów Polskich wśród rodaków zamieszkałych w okręgu moskiewskim przyniosła 150 tys. rubli.

Obywatele ostro walczyli o byt, spekulowali coraz brutalniej, ale można przypuszczać, że ci sami ludzie nie skapili grosza na wyższe cele. Jednodniowa zbiórka uliczna na Katolicki Uniwersytet Lubelski dała 113 765 zł 64 gr. Co tu dużo mówić: polska natura, pełna paradoksów, skłonność do skrajnych zachowań. Nienawiść do Niemców była powszechna, ale przed miastem nadal czernił się drogowy szlak z napisem „Kreis Lublin”, w sieny budynku inspektoratu szkolnego widniał szyld: „Gendarmerie — Zug Lublin, Kreis Kommando Poln. Polizei”, na listach poleconych z Jaroslawa spotykało się jeszcze nalepki: „R — Jaroslau, Distr. Krakau”. W tym czasie wojska hitlerowskie brały ciężkie bity od Armii Czerwonej w Jugosławii, Czechosłowacji i na Węgrzech, Finlandia zwróciła się przeciwko nie-

dawnym sojusznikom, alianci wzięli pod Cahaś trzy tysiące jeńców niemieckich.

W pierwszym październikowym numerze literackim „Odrodzenia” dramatycznie złożony problem powstania warszawskiego nie znalazł jeszcze odzwierciedlenia, ponieważ pismo stało się właściwie dwutygodnikiem i redakcja nie zdążyła przygotować odpowiednich materiałów. Niemniej nr. 4–5 zawierał kilka ważnych publikacji o charakterze programowym, m. in. Jerzego Putramenta „Odbudowę psychiczną”, traktującą o zadaniach literatury po latach okupacji, która podważała morale pewnych środowisk społecznych, nie mówiąc o tym, że fizycznie zniszczyła polską inteligencję, metodycznie i konsekwentnie prześladowaną przez hitlerowców. Już teraz, w trakcie toczącej się jeszcze wojny, główne zadanie psychicznej odbudowy narodu musi podjąć literatura... Warto przytoczyć kilka konkretnych postulatów autora, który kilkadziesiąt lat później miał napisać „Miałowierzy” i „Bokdyna”.

„ (...) Unikajmy kłamstwa, koloryzowania, przemilczania. Kłamstwo jest nieskuteczne. Są pisarze, którym się zdaje, że jeśli będą wniwiał ludzkom, że są szlachetni i mądry — to tamci naprawdę takimi się staną... Nie pozwólmy, by nam dyktowali swą wolę ludzie spoza literatury, ludzie na niej się nie znający. Trzymamy w rękę delikatne narzędzie, którym operowania uczyliśmy się lata i dziesiątki lat. Lalk może nam radzić, ale nie może nakazywać, jak żaden urzędnik nie może rozkazać chirurgowi, jaką i jak ma prowadzić operację. Sumienie artysty i wyczucie prawdy artystycznej — to tylko może na dalszą metę określać rozwój sztuki”.

Putramentowi leżała na sercu literatura uczciwa w opisie rzeczywistości, zarazem niezależna od otoczenia społecznego w momencie podejmowania takich czy innych decyzji artystycznych, czyli, krótko mówiąc, normalna, rozwijająca się w zgodzie z własną naturą i interesem publicznym. Z następnymi akapitami długiego artykułu wynika jednak, że pisarz obdarzył ją rolą na miarę romantyzmu;

„Jesteśmy dla społeczeństwa, nie istniejemy poza nim. Ale jesteśmy dla społeczeństwa po to, aby je kształtować, wychowywać, prowadzić za sobą. Mielimy ambicję wpływania na losy narodu. Nie bójmy się „rzędu dusz”. Poezja wieszczów uratowała naród. Dziś sytuacja jest groźniejsza i zadanie literatury bardziej ważne niż kiedykolwiek”.

W okresie Polski lubelskiej sfera kultury formułowała cele z zasady najwyższe, co z perspektywy czasu oprócz sympatii może budzić uśmiech pobłażania. Warto jednak pamiętać, że sam fakt stawiania takich celów działał wówczas budząco na narodową wyobraźnię, przywracał ludziom wiarę we własne siły. Potrzeba wielkiej, konstruktywnej wizji przyszłości była czymś wręcz namacalnym. W tym samym numerze „Odrodzenia” Roman Werfel kreślił „Drogi nowej Europy”, a Stefan Żółkiewski wypowiadał się w „Sprawie organizacji życia literackiego” — stawiając tezę jakby polemizując wobec cytowanego tekstu Putramenta: „Pisarz i jego działalność nie może być przedmiotem chaotycznej, beplanowej gospodarki kapitalistycznej w kulturze. Każdy talent musi być wyzyskany celowo i zgodnie z potrzebą społeczną”.

Problematyka okupowanej Warszawy i powstania profilowała już bez reszty następny numer „Odrodzenia”. Zwracały uwagę dwie publikacje: Antoniego Ruszkiewicza (Zenona Kłiszk) „Powstanie warszawskie” i Wincentego Bednareczuka (Jerzego Putramenta) „Tragedia Warszawy”, w których z pozycji polskiej lewicy poddano analizie i ocenie polityczne motywy oraz cele insurekcji. Ponadto Janusz Minkiewicz wspominał „Warszawę jako zosłała mi w oczach”, Jerzy Zaruba rysował sceny z okupowanej stolicy, Jan Kreczmar przedstawiał okupacyjne życie teatralne nad Wisłą, z którym faktycznie nie miał nic wspólnego, bo z wieloma innymi wybitnymi aktorami wolał pracować w knajpie, niż „pokazywać na scenie uśmiechniętą twarz” — legitymację rzekomego spokoju i harmonijnego życia w Generalnej Guberni, dopuszczającej do polskich spektakli pod warunkiem, że będą to płaskie farsy, tanie wyglupy. Włodzimierz

Niedawno otrzymali nowy ciągnik, 250-konny „Kirowiec”. Do niego ośmiobobowy plug i poza tym żadnych maszyn towarzyszących. Przypadł im ten traktor z centralnego rozdzielnika, który nie uwzględnia takich rzeczy, że tutaj teren pofalduwany i zakamieniony. Na ich polu potrzebny ciągnik kołowy „TK-150” z energicznym plugiem sześciobobowym z tak zwaną łamaną ramą, który unoszą się, gdy lemieś trafi na kamień. Wielki „Kirowiec” z ośmiobobowcem u nich nieprzydatny. Więc na razie wykorzystują tę maszynę do ugniatania kiszonki. Drogie to ugniatanie, „Kirowiec” kosztuje 1,7 miliona. Pewnie, mógł nie brać, ale wówczas nie otrzymaliby nic. Zawsze to łatwiej zamienić „Kirowca” na inny, przydatniejszy dla nich ciągnik. Wilczek rozgląda się właśnie za okazją.

Dlaczego tak się dzieje?

— Ano właśnie, sam nie wiem. Przecież my zawsze występujemy o określone maszyny. Ale stawia się nas w sytuacji: bierzcie co jest, inaczej wezmą inni, i to z pocałowaniem ręki. Więc się bierze, choćby dla handlu wymiennego.

O agromiastach mowa. Właśnie u nich dobiega końca budowa takiego tworu. Ludzie w mieście wpadli na pomysł, że takie osiedla uszczęśliwią wieś. Ktoś tam sobie wydumał — powiada Wilczek — że wieśniacy chcą mieszkać jak w mieście. A pewnie sam pomysłodawca marzy o dacy na wsi, albo już ją ma. On jest przeciwny agromiastom, bo one ani miejskie, nie zapewniają standardu życia jak w mieście, ani wiejskie. Według niego, urok zamieszkiwania na wsi to domek z ogródkiem, obok, oddzielone pasem zieleni, chlewiki, w których można trzymać parę świnek, kurek.

Wilczek powiada, że agromiasta to były propozycje nie do odrzucenia. Albo bierziesz, co zwierzchność daje, albo nie dostaniesz mieszkaniówki w ogóle. No i w rezultacie wozi się potem ludzi do pracy na duże odległości i robota w polu zamiast o siódmej, zaczyna się po ósmej. I trudniej namówić członków rodzin pegeerowskich, nie zatrudnionych w gospodarstwie, do najeżdżenia się do pomocy w żniwach, wykopkach, czy do pielęgnacji buraków. Gdy blisko domu, to jeszcze — można z pola wyskoczyć i do dzieciaków zajrzeć — ale dalej jeździć nie chcą. Wtedy trzeba najmować wojsko i płacić każdemu żołnierzowi po 300 zł dniówki. Właściwie to wychodzi po 400 zł, bo noclegi trzeba zapewnić, prasę, rozrywki, dowódcę dać samochody do dyspozycji. A przecież, lepiej żeby swój zarobili, członkowie rodzin pracowniczych. Ale gdy ci nie chcą, pozostaje wojsko. Albo pomoc zakładów pracy z miasta, choć z nią różnie bywa. Jednej jesieni, w wykopki, posłali autobus do miasta po 39 zapowiadzianych wcześniej pracowników zakładów. Wrócił z siedmioma mężczyznami, ale tak napitymi, że nie mogli się schylać do ziemniaków, bo padali w brudzie.

Domki to jednak dobra rzecz. Trzymają ludzi w miejscu. Do pracy bliżej. Oszczędność na transporcie. I w ogóle inne życie niż w blokach. Ale cóż, będzie agromiasto. Wilczek pociesza się, że jak ono stanie, będzie jednak więcej mieszkań i wtedy da się wprowadzić w produkcję zwierzęcej pracę na dwie zmiany, bo teraz ludzie harują na okrągło. Jak tu w takiej sytuacji myśleć o wolnych sobotach? Ba, w rolnictwie, zwłaszcza w produkcji zwierzęcej, wolna niedziela to już wielka sprawa. Gdyby tak zatrudnienie udało się zwiększyć, wówczas on postara się zorganizować robotę, by ludzie mieli dni wolne, choćby niedziele. On wie, z doświadczenia, że jak w niedzielę ludzie pracują, potem na tygodniu robota nie idzie.

Lepsze agromiasto niż brak mieszkań. Przy tym osiedlu ma być zbudowana przechowalnia ziemnia-

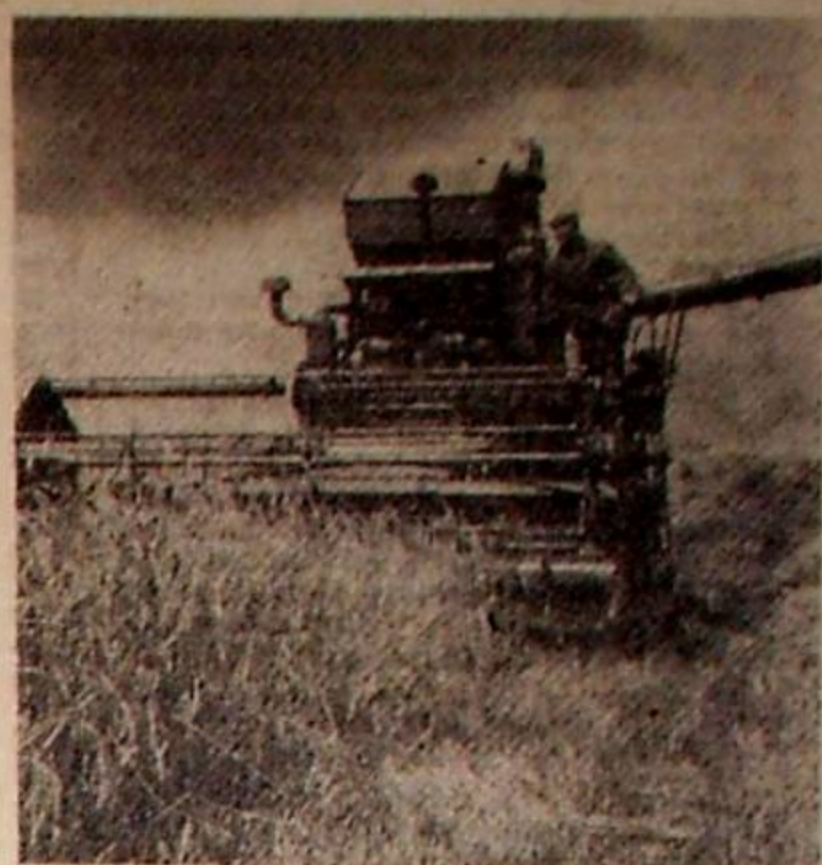
ków na 6 tys. ton, to i członkowie rodzin pegeerowskich będą mogli popracować na miejscu.

Kierownik największego zakładu rolnego w Wilczkowskim przedsiębiorstwie, mgr inż. Waclaw Jagiello, martwi się o remonty starych mieszkań. Budownictwo poniemieckie, sypie się. Zwłaszcza dachy ciekną. Tymczasem nie ma papy, smoły, cementu, kafli, baterii umywalkowych — w każdym razie na rachunek się nie dostanie. Wilczek potwierdza, że nawarstwilo się tych remontów sporo, nawet przy pełnym zabezpieczeniu materiałowym brygada budowlana będzie miała z tym robotę na bite dwa lata. Jagiello na to, że gdyby remontowano na bieżąco, nie byłoby dziś sprawy, ale poprzednicy Wilczka nie dbali o to.

Wilczek próbuje tłumaczyć swych poprzedników, że to nie tylko ich wina, ale i częstych reorganizacji w państwowym rolnictwie. Wspomina, że gdy za ministra Jagielskiego gospodarstwa miały zyski, można było remontować mieszkania w sposób uczciwy. Potem z zyskami było gorzej, ale sprytny dyrektor chcąc poprawić warunki mieszkaniowe załogi, stosował „długi ołówek” i, powiedzmy, remontując obórę, zawyżył koszt robót z 300 tysięcy do 2 milionów i już miał za co robić renowację mieszkań. No tak, ale jeszcze wtedy fundusze remontowe były przedsiębiorstwa. Ze sześć lat temu fundusze te przejęły jednostki nadrzędne, zjednoczenia, i już takich możliwości nie ma. Wszelkie remonty wykonuje się teraz ze środków obrotowych, co oczywiście obciąża koszty gospodarowania. A że o zyski przy słabej opłacalności produkcji rolnej dziś piekielnie trudno, więc przyhamowano remonty, bo nie ma za co ich robić, pomijając już kwestię braków materiałowych. Miody inż. Jagiello dopiero 10 lat w pegeerach, to nie ma tej skali porównawczej, nie zna tajników inwestycyjnej kuchni, ale rację ma — te cieknące dachy trzeba jak najszybciej naprawić i w miarę możliwości remontować stare mieszkania, stwierdza Wilczek.

Rozmowa schodzi na opłacalność produkcji. Co tu dużo kryć, jest kiepska. Nie tylko w pegeerach, u chłopów także, tylko że chłop pracuje po 16—18 godzin i zarabia na swej robotnicie. Nie chodzi naturalnie o właścicieli szklarni, ale o prawdziwych rolników, producentów zboża, mleka i mięsa. Wilczek zwraca uwagę, że rozmawiamy w pałacyku, który dawno temu postawił prywatny właściciel za dochody z gospodarstwa, a ile takich pałacyków i dworków zawałilo się w pegeerach, bo nie stać ich było na remonty... W ostatnich latach bardzo poszły w górę ceny środków produkcji rolniczych, paliw, preparatów chemicznych, budulca, a ponadto usług remontowych i weterynaryjnych. Ot, głupi lemieś do pluga kosztował 10 lat temu ze 80 złotych, a dziś 350, stwierdza Wilczek. Jagiello na to, że na zaoranie tych 17 hektarów przejętych od Spółdzielni Kółek Rolniczych, mocno zapuszczonych, zużyli aż 124 lemiesz, to ta orka wypadła cholernie drogo.

Ja rewanzuję się relacją z pobytu w niespełna 300-hektarowej Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej w Strzelnie pod Puckiem. Tam spółdzielcy oświadczyli mi, że trzymają 100 sztuk młodego bydła więcej z patriotycznego obowiązku, bo rozumieją trudności żywnościowe kraju, niż z kalkulacji gospodarskiej. Sporządzili dla tego bydelka na zimę zapas pasz, które mogłyby bez trudu sprzedać pegeerom za 3 miliony, bo tyle są warte. Bydło zeżre tę paszę i wiosną dostaną za te zwierzęta najwyższej 1,2 miliona. Więc co tu mówić o opłacalności? Oni w takiej sytuacji się nie dziwią, że niektórzy



Fot. W. Stepien

rolnicy indywidualni wycwanili się i trzymają bydło tylko w sezonie pastwiskowym i produkują pasze na handel. Też zimą za kwintal słomy można wziąć ponad trzysta złotych, tyle samo co za kwintal żyta w skupie, a i więcej.

Wilczek kiwa głową i opowiada, że w Anglii państwowe ceny skupu są wyższe od cen w detalu. Przykładowo: rolnik dostaje w skupie za kwintal zboża 3 funty, a ten sam kwintal na rynku, w sklepie, kosztuje 2 funty. Skup jest w rękach prywatnych, ale pod kontrolą państwa, które działa cenami. Mechanizm ekonomiczny powoduje, że jest opłacalność produkcji, nie ma wolnego rynku i spekulacji produktami rolnymi, te idą do państwa, które ściąga od rolników skupowe nadpłaty w formie podatków. Podwójna regulacja: ceną i podatkiem.

O, Anglia! — mówi Jagiello.

Wilczek kontynuuje, że podczas debaty w naszym Sejmie padła propozycja, by przerzucić te 200 miliardów, które państwo dopłaca corocznie do produkcji żywności, na place obywateli i wtedy można by urealnić ceny skupu i detalu. On jak najbardziej popiera to rozwiązanie, bo wreszcie w rolnictwie zaczęłyby działać mechanizmy ekonomiczne. Oczywiście sprawa wymaga szerokiej konsultacji społecznych, ale jest warta zachodu.

— Jakby już była ta opłacalność w rolnictwie — rozmarza się Wilczek — wtedy można by w pegeerach korzystać dla celów rozwoju z kredytów bankowych. No i wtedy należałoby podpisywać z dyrektorem gospodarstwa kontrakty przynajmniej na te pięć lat, bo w rolnictwie nie się szybko nie robi. A poza tym, nie byłoby tego, że przyjdzie jegomość na rok czy dwa, nabalagani, idzie na inne stanowisko, a następcą nie może wybrnąć z kłopotów. No i trzeba by takiemu kontraktowemu dać więcej samodzielności, by mógł się wykazać. Wówczas pegeery osiągnęłyby stabilizację.

Andrzej Balkowiec

Michajłow omawiał, w bardzo osobistym tonie, szkolnictwo konspiracyjne Warszawy.

Tymczasem Teatr Miejski w Lublinie wystąpił z premierą komedii Michała Bałuckiego „Grube ryby” w reżyserii Maksymiliana Chmielarczyka, w której przed wojną brylowali Mieczysław Frenkiel i Kazimierz Kamiński. Przedstawienie lubelskie z 3 października miało charakter werystyczny: na przyjęciu u Ciaptukiewiczów goście spożywali prawdziwe jado, nie wykluczone, że popijając je bimbrzem. Tak przynajmniej zidentyfikował napitki, którymi raczyli się aktorzy, jeden z widzów, dzieląc się głośno swoimi odkryciami z resztą publiczności. Miał rację, nie miał, faktem pozostaje, że wykonawcy potykali się często, eksploatowali nadmiernie humor sytuacyjny, szczytów ekspresji sięgając w scenach klótni starsuszków. Spektakl nie przypadł do gustu recenzentom, jeśli chwalił, to przewrotnie: „Służący Filip w interpretacji p. Waclawa Wacławskiego był dobry, m. in. dlatego, że mało miał do powiedzenia. Oczywiście nie z winy komedii”.

Wystawienie komedii w dniach żałoby powstaniowej było dziełem fatalnego przypadku, żadnego podakornego zamysłu nie należy się w tym fakcie dopatrywać. Inni organizatorzy życia artystycznego okazali więcej refleksu i tak na przykład w ostatniej chwili odwołano koncert rozrywkowy pt. „Z rogu obfitości” w Centralnym Domu Żołnierza, w którym miał wystąpić pewien młody tenor lubelski o nazwisku Bogdan Paprocki, wspomagany przez „Wielką Orkiestrę Jazzową” i konferansjera przedstawiającego się jako Henryk Szwajcjer. Teatr ówczesny miał swoje wznioły, ale i ciężkie upadki, spowodowane m. in. brakiem sprawnych aktorów. Z tego też względu Resort Kultury i Sztuki PKWN rozpoczął przygotowania do otwarcia szkoły dramatycznej w Lublinie, nastawionej na kształcenie kadr dla całego polskiego teatru, który w przyszłości miał być naturalnie ogromny.

Oprócz aktorów należało przecież kształcić publiczność, która po pięciu latach okupacji nie bardzo wiedziała, jak należy spożywać dary artystycz-

ne. Między innymi z tych właśnie powodów, ale mając na uwadze daleko szersze cele, zaczęto uruchamiać instytucje służące upowszechnieniu kultury. Jedną z pierwszych nosiła nazwę „kursu dla kierowników świetlic” i zaczęła swoją działalność w Domu Kultury przy ul. Skłodowskiej 2, tam, gdzie obecnie mieści się redakcja dwutygodnika „Kamena”.

Edukacji kulturalnej szerokich mas miał też służyć Uniwersytet Powszechny, uruchomiony w szkole przy ul. Narutowicza 32 z udziałem ponad 100 osób, do których przemówił sekretarz PPR, Władysław Gomułka. Słuchaczami Uniwersytetu mogli być w zasadzie tylko członkowie związków zawodowych i ich rodziny.

W tym samym czasie odbył się w Lublinie I Zlot Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego, organizacji powołanej niegdyś przez Ignacego Daszyńskiego. „Do 1939 roku kultura i sztuka istniały tylko dla uprzywilejowanych, dziś dotrą one do wszystkich. Dziś wasza organizacja rozrośnie się: dotrże tam, gdzie nie dochodziła. Na waszej twórczości nie będzie ciążyła presja ozonowo-sanacyjna... W Polsce nowej artysta to nie bezrobotny, to nie społeczny typ — to pracownik!” — obiecał na spotkaniu Aleksander Rafalowski, powtarzając konsekwentnie tezy publikowane wcześniej przez siebie samego oraz innych urzędników resortu i wcale nie otwierające „rzędu dusz” np. przed literatami, lecz sprowadzające raczej ludzi pióra na ziemię. W mniej lub bardziej jawnych polemikach wokół modelu przyszłej kultury narodowej nie mogło, rzecz jasna, zabraknąć „Stańczyka”. Tygodnik satyryczny nie przepadał za awangardą.

Przybóś ceni Pepera  
Wazyk Przybosia popiera...  
Jeden mówi: „W głąb las’  
drugi twierdzi, że „Raz”,  
trzeci, że nowe toru  
odkryły „Semaforu”.  
jakiś ultra wartości,  
jakiś błyski wielkości

węszą coraz to inne,  
A naprawdę: „Mity rodzinne”.

Tak pokpiwał z twórców i dzieci „Zwrotnicy” Jan Huszcza. A oto „nagrobki” wzniesione przez Artura Sandauera:

Tutaj sen ogarnął twarde  
czytelników awangardy.  
Tu śpi grzesznik Adam Wazyk  
co się awangardy zarzekł.

Wazyk — kierownik, jakbyśmy to dziś określili, literacki Teatru i Armii Wojska Polskiego, jeden z najaktywniejszych autorów „Odrodzenia” — odchodził wówczas rzeczywiście od awangardy, ale wcale nie na zasadzie nuworysza zachłyśniętego nową wiarą i tym żarliwiej wypierającego się wczorajszych bogów. Tak czy inaczej „Stańczyk” używał sobie na poecie, ile wiało — może również dlatego, że skromnie postury kapitan nosił przy pasie wielką kaburę, wypełnioną jednak nie rewolwerem, lecz papierem! Głównym prześladowcą był Sandauer, który pisał:

O czym marzy ob — wazyk,  
Kiedy wiersze swe smaży?  
Jakich pragnień pożera po jad?  
„Wyciąg wszech literatów  
i poetów — kamratów,  
By jednego geniusza miał świat.  
Siedziałbym w „Odrodzeniu”  
Własne wiersze w skupieniu  
Czytał, szukał piękności (i wad).  
Sam bym pisał, drukował.  
Sam swój wiersz krytykował.  
Wszystkich innych — do kosza bym kładł”.

(Fragment większej całości)  
Ireneusz J. Kamiński



# RACZKOWANIE czyli wiersze z kojca

## CORCE

I

pechałem wózek pod górkę  
przez las przez sad  
nad głębokimi rowami  
staralem się zadowolić twoje ciekawe oczy  
mówiłem To jest drzewo a to kwiat  
a to szmerze strumyk

woda

zerwałem ci nawet konieczną czterolistną  
i powiedziałem To jest szczęście

wypłulaś ją szybko  
i byłaś zdumiona jak ja  
smakiem tego spaceru

II

idziesz z rąk do rąk  
i wszyscy mówią Patrzcie  
wcale się nie boi  
Zuch  
i wszyscy myślą Martwo się  
ojcze  
kto ją uchroni  
przed dojrzałym strachem  
który przechodzi z rąk  
do rąk  
Waż

III

rwiesz się do tego szelestu  
całą gębą  
nienasycona  
z gazety też zrobisz kupkę  
i zawołasz swoje odkrywcze  
a-a

IV

po raz pierwszy powiedziałas  
do moich żegnających się gości  
pa-pa

byłem zadowolony i dumny  
rzuciliśmy się na tapczan  
i wytarzali w grymasach  
za cały dzień  
któremu zdjęłaś obrazę

V

obudziłaś się z krzykiem  
jak dziadek kiedy źle śni

przebiegłem wszystkie zakamarki  
poruszyłem wszystkie zabawki  
nawet tego stoika misia  
zmusiłem do mrużenia  
aż znalazłem smoczek  
i przepędziłem zmyły

dziadek czuwał do świtu  
swoje zakamarki przetarł już dawno  
świeciły pustką  
spędzały sen z oczu

VI

wstałaś do mnie z rozpostartymi rączkami  
na chwiejnych nóżkach  
które kpily z nadziei

byłem blisko  
na przeskoczenie na przewinięcie się  
przez kojec mój spryt

wiedziałem  
wątle nóżki zaplączą się w zabawkach  
z wrzaskiem upadnie z ust nadzieja

pomogę ci wstać  
nasze szanse i tak pozostaną równe

VII

mówią  
że cię nie kocham  
bo kazałem zasnąć bez smoczka  
bez nadziei  
na spokojne sny

nie mówią  
że ci co dają mi proszki nasenne  
robią to z miłości  
do mnie

VIII

uczyłem cię chodzić na dwóch nogach  
które robiły sobie na złość  
wywijając się brzuskiem  
prostowałaś kręgosłupem  
tłumiłaś kolanami  
szłaś cała naprzód  
z główką przechyloną  
do tyłu

w moją stronę

IX

chodzisz  
więc masz powód do radości  
jeszcze jeden

możesz sama poruszyć  
królestwo  
uchwytów rączek klamek  
i wywlec ze skrytek  
cały nasz świat

uskładany od chwili  
kiedy stanęliśmy  
na dwóch łapkach

X

nauczyłaś się już tyłu słów  
że nie wiem jak z tobą rozmawiać  
aby cię zadowolić

twoja niemowleca cierpliwość  
dobiegła końca  
sprzeciwiasz się  
mówisz  
co  
chcesz

XI

twoja pierwsza świeca  
zgasa  
dmuchnęłaś z całych płuc  
na ten słodki tort  
prezent babci

trzymałem cię mocno  
pilnowałem kierunku  
twojego przyspieszonego oddechu

Autor tego wiersza, urodzony w 1946 r., jest absolwentem filologii polskiej na UJ. Związany jest ze Śląskiem Cieszyńskim, pracuje w CSRS, po drugiej stronie Olzy. Przez pewien czas był redaktorem naczelnym „Zwrotu”, miesięcznika społeczno-kulturalnego, wydawanego przez Polski Związek Kulturalno-Oświatowy.

## DEBIUTY

Tadeusz Charmuszko

### ONI Z WIATRU

Odesłani do wiatru  
lamią wątle skrzydła pośpiechu  
obcasami sięgają po przepaść  
paraliż dzielą na granit i buczynę  
sękami otwierają okna na świat

Odesłani do wiatru  
gwiżdżą na cichy kąt  
balonem sięgają stroskania chmur  
stękają w zapasach z pnem  
piaskiem zasypują oczy jezior

Odesłani do wiatru  
gubią piszczele na rozstajach  
wyginają palce do kolan wierzb  
przydrony  
szumią destylowanym alkoholem  
trzeszczą w skorupie grobu

A wiatr w orkanach i pasatach  
obcy sobie w szmerze trawy  
wyuzdany sukni potarganiem  
wściekły derwisz na pustyni  
wleczę za włosy ludzkie przeznaczeni

Wojciech Próchniewicz

### WOŁANIE

Czy słyszysz on cię nie wola z za  
delikatnej ścianki snu nie  
zarzucając ciepłem mario śladów  
pólistnienia on sływa pionowo  
oszałamia rozświetla pozoruje  
szczęście aż w końcu ustala własne  
graniec wypala terytorium  
swojej obecności gorączką  
nieprzespanyc  
nocy utrwała własne domniemane  
prawd  
trwa  
jest w tobie ciemny taki nočný  
chlorofil nienący w zimowym  
śnie gdy go już dotykasz on przestaje  
wolać jest płaski jak ziemia na której  
kiełkują mikroskopijne rośliny

## LISTY SERGIUSZA JESIENINA

Maria Marczyk

**S**ERGIUSZ Jesienin (1895—1925) zajmuje dzisiaj poczesne miejsce w dorobku rosyjskiej poezji. Jego oryginalny talent poetycki przejawiał się szczególnie w krótkich wierszach, które dzięki komunikatywnemu liryzmowi znajdują najprostszą drogę do czytelników.

W upowszechnianiu poezji Jesienina w Polsce w latach dwudziestych główna rola przypadła Skamandrytom. Popularyzacją spuścizny poety zajęli się również w tym czasie Władysław Broniewski, Stefan Żeromski, Bruno Jasiński i inni. Problem recepcji twórczości tego znakomitego poety w Polsce znalazł szerokie ujęcie w pracy Władysława Piotrowskiego pt. „Sergiusz Jesienin w polskiej literaturze międzywojennej” (PIW, Warszawa 1967).

Wzrastającemu zainteresowaniu twórczością Jesienina, towarzyszy szeroka popularyzacja jego spuścizny epistolarniej w Związku Radzieckim. W pięciotomowym zbiorze jego utworów (1942 r.) znalazło się 120 listów, z tego 90 dotąd nieznanymi. Do tej pory odnaleziono łącznie 278 listów, telegramów szereg uwag i notatek roboczych poety.

Spośród tych materiałów na szczególną uwagę zasługują listy z okresu wczesnej młodości, szczególnie do nielubianej Marii Balzamowej i przyjaciela z ławy szkolnej Grzegorza Panfilowa. Listy te należą bowiem do tych archiwalnych źródeł, które w znacznym stopniu odsłaniają złożony proces krystalizowania się światopoglądu poety, jego poglądów społecznych i estetycznych.

We wczesnych listach przyszły poeta dzielił się szczerze myślami. W jednym z nich pisał: „Człowieka można zrozumieć tylko poprzez analizę jego życia i postawienie się w jego sytuacji... Prawda powinna być tylko jedna, bez dowodów i granic, gdyż sama jest alfa i omega. Życie powinno cechować się dążnością do prawdy, w przeciwnym razie nastąpi degeneracja...”. Charakterystyczne jest, że ta szczerza forma ukazania własnych przeżyć, własnego

świata duchowego, nie jest wynikiem egocentryzmu poety, ale wprost przeciwnie.

Od najmłodszych lat indywidualizm i intymność jego uczuć przeplatała się z rzeczywistością i społecznym akcentem. Towarzyszą temu rozmyślanu o próbach przeciwstawienia się trywialności i ubóstwu duchowemu otaczającego go środowiska kupieckiego oraz mieszczańskiego bytu z jednej strony, a z drugiej rozmyślania o społecznej roli poety odpowiedzialnego za losy swego narodu.

Listy do wspomnianego już Grzegorza Panfilowa stanowią obok literatury pamiętnikarskiej cenne źródło umożliwiający w znacznej mierze prześledzenie formowania się jego oryginalnego talentu poetyckiego oraz poznanie jego artystycznych i ideowych poszukiwań. Dowiadujemy się z nich o zainteresowaniu się Jesienina „tołstoizmem” i etyką chrześcijańską, o udziale poety w moskiewskim ruchu robotniczym 1913 roku, skutkiem czego było ustanowienie wobec niego nadzoru policyjnego.

Ta ambiwalencja uczuć w listach z tego okresu była wynikiem braku dojrzałości poglądów, nieukształtowanego charakteru poety oraz pewnej subiektywności w ocenach rzeczywistości. Łatwo przy tym zauważyć, że listy te pisane były z pewną dozą efekciarstwa, przejawiającego się u Jesienina w lekkim pozerstwie i skłonnościach do melodramatu.

Krąg osób, z którymi spotykał się Jesienin w ciągu swego niedługiego życia, był dość znaczny i urozmaicony. Byli to poeci, artyści, malarze, krytycy i literaci. Znał się z Aleksandrem Błokiem i Andrzejem Biełym, ze znakomitym malarzem Iiją Repinem, rzeźbiarzem Sergiuszem Konienkowem, reżyserem teatralnym Wsiewołodem Meyerholdem, Maksymem Gorkim, krytykiem, Anatolem Lunaczarskim, działaczami państwowymi Kalininem i Kirowem i in.

Niektóre listy do osób, które odegrały niepoślednią rolę w życiu Jesienina (Mikołaj Klujew, Iwanow-Razumnik, Anatol Marienhof), mają charakter

krótkich traktatów o literaturze i sztuce. W jednym z listów do Iwanowa-Razumnika Jesienin odsłania sekrety swojej sztuki poetyckiej: „Poeta powinien zawsze rozszerzać swoje widzenie nad formą słowa. Poetyckie ucho powinno być tym magnesem, który spaja w jednym tonie dźwiękowym słowa o różnych znaczeniach, nadając im jeden sens...”

Inna grupa listów zawiera przenikliwe oceny otaczającej rzeczywistości i niektórych osób.

Na szczególną uwagę zasługuje kilka korespondencji pisanych w czasie podróży zagranicznej, którą odbył w towarzystwie znakomitej ówczesnej tancerki Isadory Duncan. Przepojone głębokim liryzmem, tęsknotą za ojczystym krajem, listy te są szczerym świadectwem jego miłości do ziemi rosyjskiej, jej niepowtarzalnego uroku. W listach tych poeta krytykował cywilizację krajów Europy zachodniej i Stanów Zjednoczonych, jej destrukcyjny wpływ na osobowość człowieka. „Niech mówią, że jesteśmy nędzarnikami, że u nas jest głód, chłód i ludożerstwo, za to mamy duszę, którą tutaj na skutek bezynteligencji oddano warendę „smierdakowszczyzny”... — pisał do przyjaciela.

Dotychczas ukazało się w naszym kraju kilka zbiorów poetyckich z przekładami wierszy Jesienina. Na szczególne podkreślenie zasługuje wybór wierszy dokonany przed 5 laty przez Ziemowita Feddeckiego. Zamieszczone tam obok przekładów teksty w oryginale pozwalają na konfrontację przekładów z wartością oryginałów.

Zastanawiając się nad procesem recepcji twórczości Jesienina w Polsce należy stwierdzić, że jego listy nie są znane szerokiej masie czytelników w naszym kraju. Niemniej jednak w wydanej kilka lat temu książce pióra Elwiry Watałki i Wiktora Woroszyłskiego pt. „Życie Sergiusza Jesienina” z cyklu popularnej serii „Ludzie żywi” znaleźć można prezentację niektórych listów Jesienina. Autorzy jednak dokonali wyboru najbardziej kontrowersyjnych listów poety, przez co otoczyli go aureolą niezwykłości i osobliwego mitu, licząc zapewne na wywołanie większego efektu i zainteresowania czytelników.

# z notatnika

Dokończenie ze str. 1

językiem polskim. Do wspólnego stołu dochodzą: korespondent prasy socjaldemokratycznej — **Henrik de Jons** („Volkskrant”) i prasy komunistycznej **André Roelofs** („De Waarheid”) z Holandii oraz **Erik Nielsen** („Land og Folk”) z Danii. Ten ostatni stale mieszka w Pradze, jego żona jest Czechką. Nadziała do swej redakcji korespondencje z Czechosłowacji i Bułgarii, teraz — z Polski. Rozmawiamy po niemiecku, łatwo odnajdując wspólny, już nie niemiecki, język. Nielsen znakomicie włada językiem czeskim, no, ale rozumieć musimy się wszyscy. Śmiejemy się, że w takó sposób powstaje „europejskie forum komunistów”. Europejskie, bo taką nazwę nosi... hotel, w którym właśnie jesteśmy. Później zjawia się boński korespondent hiszpańskiego „El País”, **José Comas**, ale nasze wzajemne poglądy co nieco się różnią... Nie mniej wieczór jest nadzwyczaj udany...

17 VII. Piątek. Dalszy ciąg obrad w zespołach problemowych. Wczoraj w zespole pierwszym, w którym uczestniczę, a obraduje on w Sali Kongresowej, do której pozwolono mi teraz wejść, wprowadzono do dyskusji przedstawił **Kazimierz Barcikowski**, „Odpowiedzialność całej partii za działalność w nowych warunkach — podkreślił mówca — ma nie tylko wymiar wewnętrzny. Jest to przede wszystkim odpowiedzialność przed klasą robotniczą i całym społeczeństwem. Doświadczenia ostatniego roku potwierdzają bowiem jednoznacznie, że socjalizm nie może istnieć bez przewodniej roli partii oraz że partia jest głównym gwarantem socjalistycznej odnowy”. Dyskusja nie jest pozbawiona elementów polemicznych. Z krytyką spotyka się stan marksistowskich nauk społecznych w naszym kraju. Podkreśla się, że WSNS musi się lepiej dostosować do potrzeb życia, koncentrując się raczej na studiach podyplomowych, a nie normalnych. Wiele uwagi zajmuje pozycja aparatu partyjnego, który powinien pełnić funkcje wykonawcze i usługowe wobec przedstawicielskich organów władzy partyjnej, nie zaś zastępować je lub narzucać im swoją wolę. Aparat partyjny jest jednak niezbędny: pojawiające się w środkach masowego przekazu tendencje negujące potrzebę istnienia w partii etatowego aparatu mają na celu osłabienie PZPR.

Mówi się i o młodzieży: utracenie jej poparcia znaczy utracenie przyszłości.

Po południu znów sesja plenarna. Na wstępie przyjmuje ona wniosek zespołu czwartego, aby szerzej relacjonować w telewizji obrady Zjazdu. Dziewięć godzin retransmisji — to powinno zadowolić wszystkich, a mnie z kolei zwołać od nadmiaru cytatów.

Są jednak interesujące propozycje i uwagi:

„Plaga rolnictwa są kłeski urodzaju bądź też nieurodaju. Wynikają to z niedoinwestowania i kompletnego braku elastyczności przemysłu przetwórczego oraz niestabilności cen. Jest rzeczą oczywistą, że na wysokość plonów znaczny wpływ mają warunki klimatyczne, stąd też zawsze należy się liczyć ze zwiększoną lub zmniejszoną podażą surowców rolnych. Cały problem polega na tym, by w okresach tłustych skupić, przetworzyć i przechować wszystkie surowce rolne na lata chude. Jak dotychczas nie potrafiliśmy zagospodarować wszystkich surowców w okresie zwiększonej ich podaży, na przykład mleka w lecie, bądź też warzyw i owoców podczas „kłeski urodzaju”. [...] Rozwój przemysłu przetwórczego musi iść w parze z rozwojem rolnictwa”. (**Tadeusz**

**Rajna**, rolnik ze wsi Gryzno, woj. gorzowskie).

„Instancje partyjne nie powinny ingerować w drobne sprawy przedsiębiorstw czy instytucji. Znow apel tu nie wystarczy, a należy również tworzyć odpowiednie rozwiązania systemowe. Jednym z takich rozwiązań są zmiany struktur organizacyjnych aparatu etatowego, obowiązujących aktualnie w komitetach wojewódzkich, a częściowo i w Komitecie Centralnym, gdzie większość wydziałów pokrywa się ze strukturą organizacyjną administracji”. (**Stefan Zawodźniński**, I sekretarz KW PZPR w Białymstoku).

„Jesteśmy zdania, że zakaz łączenia funkcji administracyjnych z partyjnymi danego szczebla musi obowiązywać wszystkich członków partii jako zasada bez żadnego wyjątku”. (**Stefan Walter**, ślusarz z Zakładów Mechanicznych „Zamech” w Elblągu).

„Rolnikowi nie chodzi o ciągle podwyższanie cen, nie chodzi o to, aby te ceny rosły, szczególnie w obecnej sytuacji krajowej. Natomiast chodzi o to, żeby relacje cen były właściwe. [...] Zgłaszam wniosek, aby każda zwykła cena na przemysłowe środki produkcji znajdowała swą rekompensatę we wzroście cen odpowiednich produktów rolnych...” (**Tadeusz Kiedrowski**, rolnik ze wsi Losino, woj. ślupskie).

I znów zamknięte posiedzenie Zjazdu — ogłoszenie wyników głosowania do władz partyjnych. Ile niespodzianek i ile osobistych zawodów, a może i tragedii. Do władz nie wchodzi ludzie tak różni jak **Tadeusz Grabski** i **Tadeusz Fiszbach**, jak **Andrzej Zabiński** i **Józef Klasa**, jak **Stanisław Kociolek** i **Krzysztof Dąbrowski**. W większości przegrzywają pierwsi sekretarze komitetów wojewódzkich, wśród nich i **Władysław Kruk**. Polityk musi się z tym liczyć, chociaż pociesza go to, że w takim głosowaniu często decyduje przypadek. Wśród członków nowego KC większość stanowią robotnicy i chłopcy, a przecież nie oni dominowali na Zjeździe.

Ktoś powiedział w kuluarach: obcinano partii skrzydła. Ktoś inny dodał: również i ręce...

Czas pokaże, jak jest w istocie. Niezależnie jednak od tych opinii, w nowym KC powszechnie chcą widzieć nowych ludzi.

Ze starego Biura Politycznego tylko cztery osoby przycisnęły się przez szczelne sito wyborcze: **Stanisław Kania**, **Wojciech Jaruzelski**, **Kazimierz Barcikowski** i **Stefan Olszowski**.

Spekulacje: kto wejdzie w skład Biura Politycznego. Cztery wymienieni — na pewno. Kto poza nimi? Zagadka wyjaśni się szybko.

18 VII. Sobota. Znow obrady zespołów problemowych. W „moim” zespole ogółem głos zabrało 52 mówców, w tym ośmiu zaproszonych gości. Do protokołu złożyło swe głosy 23 delegatów.

O 14-ej pierwsze plenarne posiedzenie nowego Komitetu Centralnego. Padają cztery kandydatury na stanowisko I sekretarza: **Stanisław Kania**, **Stefana Olszowskiego**, **Mieczysława Rakowskiego** i **Kazimierza Barcikowskiego**. **Olszowski** i **Rakowski** nie wyrażają zgody na kandydowanie, **Barcikowski** zgadza się po namowach (postanowiono przeciw na Zjeździe, że będzie minimum dwóch kandydatów).

Tymczasem dalej toczy się dyskusja plenarna. Znow nurt rozliczeniowy: „Oskarżamy **Edwarda Gierka** o to, że w majestacie całej naszej partii oblać publicznie każdej rodzinie samodzielnie mieszkającej w latach osiemdziesiątych. Efekt tej obietnicy: na około 3 mln zawartych małżeństw w latach siedemdziesiątych, nie uzyskało mieszkania samodzielnego 2 mln rodzin. [...] Stoimy jako partia przed ostatnią szansą odzyskania zaufania w warunkach, w których wiarygodność zdobywają naszym kosztem nowe organizacje nie obciążone jeszcze dostrzegalnym bagażem błędów...” (**Kazimierz Paszek**, dyrektor Zespołu Szkół Ekonomicznych w Lesznie).

**Przemówienie Tadeusza Fiszbacha** („między demokracją w partii a niezależnością związkowej organizacji klasy robotniczej występuje sprzężenie zwrotne. Na dłuższą metę żaden z tych ważnych czynników nie może funkcjonować samodzielnie bez wzajemnych zależności”).

Teraz Zjazd obraduje przy drzwiach zamkniętych: wybory I sekretarza KC PZPR.

**Kulminacyjny punkt sobotnich obrad: ogłoszenie wyników głosowania na stanowisko I sekretarza KC. Na 1955 obecnych delegatów głosowało 1944. Głosów ważnych oddano 1939, nieważnych — pięć, nie głosowało jedenastu delegatów. Kazimierza Barcikowskiego poparło 568 delegatów, a Stanisława Kanię — 1311.**

Głos zabiera nowo wybrany I sekretarz KC PZPR **Stanisław Kania** i mówi, że chciałby być sekretarzem całej partii, wszystkich jej oddziałów.

„To zwycięstwo — napisze później **Reaves** z amerykańskiej agencji UPI — oznacza ostateczne przypięcie wroście kroczenia drogi, jaką **Kania** prowadził od chwili dojścia do władzy. **A. B. Marguerite** z francuskiego „Le Figaro” stwierdził m. in.: „Sekretarz nie jest osobowością charyzmatyczną, ale jest uczciwy i świadomy swych ograniczeń, co czyni go sympatycznym i zjednuje szacunek wszystkich. Zwłaszcza, że potrafi otoczyć się osobami kompetentnymi i występować, jak to się wyraził po wyborze, w roli organizatora zbiorowej mądrości KC”. **Kania** jest do przyjęcia prawie dla wszystkich, stanowiąc niejako „wspólny mianownik partii”. Kraj jest mu wdzięczny za to, że potrafił odegrać w ciągu dziesięciu miesięcy historyczną rolę w uchronieniu kraju przed tylekrotnie zagrażającą katastrofą. [...] Skoro instancje kierownicze zostały dogłębnie wymienione, było niezbędne zachowanie wraz z **Kanią** symbolu i gwaranta ciągłości. Było to konieczne tak dla Polski, jak i niewątpliwie dla jej sojuszników. Wykazała to zresztą depeza gratulacyjna od Breżniewa...”

Godzina 22.00 — wznowienie obrad plenarnych.

Z kolei na obradach plenarnych informację o sytuacji społeczno-politycznej składa **Mieczysław Rakowski** i wreszcie wysłuchane z dużym zainteresowaniem, wystąpienie **Albina Siwaka**, brygadzysty w Kombinacie Budownictwa Miejskiego.

**Albina Siwaka** poznałem uprzednio w kuluarach. Wręczył mi swą broszurę pt. „Ja, robotnik budowlany, zwracam się do was”. Są w niej jego wystąpienia, wygłaszane w różnych okolicznościach oraz wywiady. Na VIII Zjeździe PZPR w VI zespole **Siwak** stwierdził m. in.:

„Korzystając, że widzę tutaj ministra **Glazura**, chciałbym o jeszcze jednej sprawie powiedzieć. W poszukiwaniu chętnych do pracy w budownictwie robotników wyjeżdżam czasem na wieś i strasznie bolesną sprawą jest, jeżeli rolnik ma rozpoczętą budowę obory, stodoły, czy czegoś innego i nie może tej budowy wykończyć, a widzi, jak materiał, którego brakuje, idzie obok na piękne wille tych, co mają w Warszawie mieszkania. [...] Was, towarzyszu ministrze, dotyczy to również, a podlega wam budownictwo wiejskie. Jako delegata proszę mnie bardzo, abym powiedział także i o tej sprawie.”

Jak więc widać, **Siwak** i na poprzednim, gierkowskim, Zjeździe nie należał do tych, którzy lubią, gdy kładzie bucha kłębami...

Tym razem **Siwak** mówi też ostro: „Kraj tonie po prostu w zalewie półlegalnej i legalnej bibuły, szkalującej partię, ustrój, Polskę i naszych sojuszników. Wszystkimi środkami chce się wykorzystać powszechnie dążenie do sprawiedliwości i demokracji celem budowy systemu niesprawiedliwości i nietolerancji. Można się spodziewać, że nawet naszym sąsiadom, członkom Układu Warszawskiego, złożona zostanie oferta gwarantująca dopelnienie sojusznicych zobowiązań w zamian za tolerowanie odebrania władzy komunistom i zmiany stosunków społeczno-ekonomicznych kraju...”

**Siwak** przypomina, że w walce o władzę ludu zginęło ponad 20 tysięcy robotników i chłopów i stawia wniosek o wznowienie pomnika ku czci poległych.

W końcowej części swego wystąpienia mówca polemizuje z pewnym stwierdzeniem **Stefana Bratkowskiego**, prezesa ZG ZDP, który miał publicznie powiedzieć, że 3 proc. ucze-

stników Zjazdu do porządku ludzie, 10 proc. — to odnowiciele, a reszta — błoto...

19 VII. Niedziela. Jak się należało spodziewać, **Bratkowski** replikuje. W telegramie wystosowanym do Zjazdu stwierdza, że nigdy nie wyrażał się pogardliwie o delegatach. Ostatecznie Zjazd postanawia, że kontrowersjami dotyczącymi wypowiedzi **Siwaka** i **Bratkowskiego** ma się zająć specjalna komisja wyłoniona ze składu Prezydium Zjazdu.

Po południu — oczekiwane przemówienie premiera rządu PRL, generała armii, **Wojciecha Jaruzelskiego**. Nie będą go już cytować, bo znane jest ono dobrze ze środków masowego przekazu. Sala słucha w skupieniu, reagując oklaskami na co celniejsze stwierdzenia.

Również nieco późniejsze wystąpienie **Stanisława Kociolka**, I sekretarza Komitetu Warszawskiego, wzbudza duże zainteresowanie wśród delegatów. „Jedność partii — stwierdza mówca — to cel zawsze poszukiwany. Partia nie jest jednolita ani ideologicznie ani politycznie. [...] Rakowatym zjawiskiem są w partii, jak to nazywam, syndykaty etykietów występujące poza KC, oceniające Komitet Centralny, Biuro Polityczne, wszystkich i wszystko. One orzekają, co jest odnową, a co nie, kto jest odnowicielem, a kto rewizjonistą albo konserwatystą. Rzeczywiste problemy i pytania oraz potrzebne odpowiedzi są inne. Dokąd idziemy jako państwo, dlaczego z takim trudem utrwalamy kierowniczą rolę partii, dlaczego powstała i utrwała się dwuwładza i idące z nią w parze niebezpiecznie podzielone społeczeństwo...”

Na drugim posiedzeniu plenarnym KC następuje wybór kolegialnych organów KC PZPR.

Na wyniki oczekujemy w kuluarach z niecierpliwością. Wreszcie wszystko staje się jasne... Partia ma nowe Biuro Polityczne, nowy Sekretariat.

20 VII. Poniedziałek. Siódmy dzień obrad, ale wczoraj obrady toczyły się bardzo długo. Rozpoczęto dyskusję nad propozycjami zmian w statucie partii. Pierwszy rozdział statutu został przyjęty. Dziś debata nad dalszymi rozdziałami.

Raz po raz ktoś zabiera głos i kamera ślizga się po twarzach. Nie jest to bynajmniej dyskusja akademicka: statut dla partii jest tym, czym konstytucja dla państwa.

Ostatecznie przed południem statut zostaje uchwalony.

Powoli obrady dobiegają końca. Jeszcze sprawozdanie z pierwszych plenarnych posiedzeń CKKP i CKR, jeszcze zapoznanie się delegatów ze sprawozdaniem Komisji Odwołań (interesujące, ale już mi brak miejsca) i wreszcie przyjęcie uchwał: „W stulecie polskiego ruchu robotniczego”, „W sprawie opracowania perspektywicznego programu PZPR” oraz najobszerniejszego dokumentu zjazdowego — uchwały zawierającej program rozwoju socjalistycznej demokracji, umacniania przewodniej roli PZPR w budownictwie socjalistycznym i stabilizacji społeczno-gospodarczej kraju.

Dyskusja nad ostatnią uchwałą trwała kilka godzin, ale sądzę, że gdyby nie zmęczenie delegatów, mogłaby ona znacznie się przedłużyć.

Natomiast Odezwa IX Zjazdu PZPR do narodu polskiego nie wzbudza już większych kontrowersji.

Przed końcowym przemówieniem **Stanisława Kani** powraca jeszcze sprawa sporu (?) **Siwak** — **Bratkowski**. Szczegóły publikowała prasa. Osobiście odnoszę wrażenie, że **Albina Siwaka** wprowadzono tu w tzw. maliny i rzecz oparta jest na nieporozumieniu. Komisja powołana do zbadania tej sprawy uznała, że powinna ona pozostać w ręku obu zainteresowanych stron. „Wyrok”, można powiedzieć, salomonowy...

Z przemówienia końcowego **Stanisława Kani** trudno mi cokolwiek cytować. Słuszna jest zapewne ta ocena wyrażona przez I sekretarza KC na wstępie jego wystąpienia: „Był to zjazd wielkiej odpowiedzialności naszej partii za Polskę, za socjalizm...”

Po słowach — kolej na czyny. Nas wszystkich...

Marek Adam Jaworski



# Był on...

Waldemar Piasecki

Zawsze jest obcy i zawsze jest sam  
Odrodzony barykadą stołu  
Nie czuje, co czuje i nie ma co mam  
Wrzucony do wspólnego dołu.  
(Marek Zaniwicz „On”)

**S**ZEDŁ pustą ulicą. Brud odchodzący zimy opanował chodniki podwórza. Szedł w starej jesionowej, rozpiętej i wystrzępionej. Od kiosku „Ruchu” zostało mu wszystkiego czterdzieści metrów. Musiał minąć piaskownicę i śmietnik. W piaskownicy dzieci przestały się już bawić. Zabrakło piasku. Śmietnik od wielu tygodni był własnym życiem. Nie usuwane odpadki wyszły z pojemników, a potem z ceglanej poczekalni. Pelczy przed siebie zachłanne i ślepe. Nie znając celu i przeznaczenia. Zachwiał się, zatoczył. Ruszył ukosem do środkowej klatki schodowej. Na drugim piętrze paliło się światło. Minął piaskownicę i skręcił w lewo. Zostało niewiele. Musiał przejść przez śmieci. Mógł przeskoczyć, gdyby nie chciał z nimi spotkania. Gdyby...

Pierwsza zmiana wygoniła z domu Franciszka Stasiaka o 5.45.

— Wyszedłem i normalnie, koło piaskownicy, na skróty idę. Parę kroków, normalnie, zrobiłem i patrzę: ktoś leży. Podchodzę, patrzę z bliska... A to ten gość, co to z panną Magdą mieszkał. Leży na plecach. Oczy otwarte, usta otwarte, ale lekko tak jakoś... Żęby widać. Jakby, normalnie, się uśmiechał. Ale się nie rusza. Ciarki mnie przeszły... Dotykam ręki. Zimna. Lecę na górę do panny Magdy i walę w drzwi...

Pogotowie przyjechało po dwudziestu minutach. Na dworze stał już spory tłumek. Ktoś przykrył mu twarz leżącą w pobliżu „Trybuną Ludu”. Nawet czystą i nie za bardzo zużytą.

Lekarz nawet nie badał tętna. Uniósł gazetę.

— Zawal. Trupów nie wozimy — powiedział obojętnie.

Zobaczył Magdę. Pracowała w tym samym szpitalu. Podszedł. Stała osłupiała. Nieobecna.

— Ktoś bliski? Znajomy? — spytał. Stała milcząca.

— Panie doktorze. To jej naręczony...

— No dobra. Bierzemy. Nosze, panie Józiu.

Nekrolog mówi prawdę, ale zazwyczaj tylko o fakcie. O śmierci. Reszta to stafaż życzeń, niespełnionych marzeń. Nie mówię tego Magdzie. Po co? Wypisują: „Karol Jastrzębski, 29 lat. (...) Inżynier budownictwa (...) Matka i siostra”.

Magda ma dziś nocny dyżur. Nalewa więc do termosu kawę.

Krótko obcięte czarne włosy, duże brązowe oczy, nad górną wargą meszek. Zapala „kiubowego”...

— Minęły już prawie cztery miesiące... Bardzo szybko jakoś... Myślę o nim. O Karolu. Ale to nie jest jakaś czarna rozpacz i walenie głową w ścianę. Może tak nie powinnam mówić, bo łączyło nas bardzo dużo. Choćby te siedem miesięcy, przez które byliśmy razem...

Oboje wiedzieliśmy, że kiedyś się to skończy. To znaczy, że on odejdzie. Weźmie tę swoją torbę „Adidas”, wrzuci do niej trzy koszule, stary sztruktrowski garnitur, sweter, kilka książek...

Nie znalazł go dobrze. Nie mówił o sobie, o rodzinie, o kolegach. W ogóle mówił niewiele. Potrafił przez dwie godziny nie odezwać się. Coś go gryzło, męczyło... Czegoś chciał. Gdzieś gonił. Najczęściej chodziliśmy do kina. Zwykle był rozczarowany, ale czasem ożywał się. Chciał wtedy rozmawiać, dyskutować, ale ja nie zawsze mu do tego wystarczałam. Pamiętam, jakie wrażenie zrobił na nim „Kung-fu”. Powiedział, że to jest recepta na dziś, ale nie na jutro. Że na jutro cztery osoby nie wystarczą...

Pora wychodzić z domu. Przy śmietniku drogi nasze się rozchodzą. Mniej więcej tam, gdzie znalazł Karola. Nie jest to nasze ostatnie spotkanie.

— Proszę pana, to są nieodwracalne zmiany w psychice, na podłożu młodzieńcowym. Zdziczenie starca. Sam pan zobaczy... — wyjaśniał gorliwie młody lekarz.

Świetlica przytulku dla niepotrzebnych starców jest dość przyjemna. Ktoś się starał, żeby było schludnie i czysto. Siadamy przy stoliku.

Kazimiera Jastrzębska ma 72 lata. Wygląda na najwyżej sześćdziesiąt. Z pewnością jest to „wina” włosów. Jeszcze nie siwych, choć już nie kruczo czarnych, jak w młodości. Są ułożone z niemalą starannością. Z tyłu głowy wypiętrzają się w kok.

— Ach, to pan jest kolegą Karolka... Tak. Już pana poznaję... Co ja mówię? Poznałam, jak pan tylko wszedł do budynku. Bo ja, wie pan, patrzyłam przez okno i widziałam, jak pan szedł alejką od bramy. Patrzę i myślę: skąd ja go znam? No i sobie przypominam, że pan jest przecież kolegą syna. Nawet imię pańskie pamiętam, panie Wojtku...

— Waldku...  
— Oczywiście. A jak ja powiedziałam? Waldku przecież... Może tylko trochę niewyraźnie...

Kiedyś musiała być piękną kobietą. Patrzy teraz wyczekująco i uśmiecha się. Onieśmieliła ją widać moja sztywność. Nie podjąłem gry, którą zaproponowała.

— Nie znałem pani syna. Bardzo żałuję, ale — nie. Z kimś mnie pani pomyliła. Karol musiał mieć wielu kolegów...

— Och, mnóstwo miał kolegów. Opowiada. W miarę, jak mówi zapala się. Brnie w szczegóły sprzed lat, w dykteryjki, w zwietrzałe egzaltacje. Zaczynam wątpić, czy zdaje sobie sprawę z faktu śmierci syna. Mówi o nim, jakby wyszedł na osiem godzin do pracy i za chwilę miał wrócić.

Drzwi świetlicy uchylają się. Zagląda siwa głowa z brodą. Cofa się gwałtownie napotykając mój wzrok.

— Pani Kazimiero, jaki był pani syn? Karol...

— Och, przecież pan wie... Wysoki brunet, z brodą. Przystojny. Wszystkie dziewczyny się z nim oglądają.

Telefon nie odpowiadał przez trzy dni. Wreszcie...

— Tak, Katarzyna Michalak... Jestem pierwszą żoną Karola. To jest, byłam jego pierwszą żoną.

Wizyta.  
Mieszkanie M-3, na własność. Standard i sztampa. Wyjąwszy może parę drobiazgów i kilkadziesiąt zdjęć lokatorów na ścianach. Z reguły kolor. Przy magnetofonie i we wdzianku „Mody Polskiej”, z teflonowym rondlem i frotowym ręcznikiem (tylko). Robi to wrażenie i ona o tym wie.

— Pracuję jako modelka szósty rok. Robiłam już chyba wszystko. Czas pomyśleć o wyjeździe na Europę. Jak koleżanki... Ale pan wie, jak to jest. Trzeba trochę fartu w życiu.

— Pomówmy o Karolu.

— No cóż, byłam siksa, gdy go poznałam. On się mógł podobać dziewczynom. Przystojny, wysoki. Inteligentny. Skończył ogólniaka, na prawo się nie dostał. Coś trzeba było zrobić, a Karol był już inżynierem, pracował... Długo się nie namyślałam. W końcu, co mnie mogło czekać w rodzinnej miejscinie? Okienko pocztowe, może coś w urzędzie miejskim, może za sekretarkę do jakiegoś dyrektora...

Mówi, mówi... Siedzi i robi to swoje wrażenie. Włosy od Laurenta, beżowy kostium z „Telimeny” (pozowała w nim do prospektu). Perfumy od „Coty’ego”. Ciepłe i puder — też. Świeża, pachnąca.

Chronologia małżeńska.  
Pierwsza kłótnia po tygodniu z powodu „chorobliwej zazdrości Karola” (kiedy dowiedział się o tym, że pozuje do zdjęć).

Po miesiącu uderzył ją w twarz, kiedy nie wróciła na czas z Warszawy (trzy dni spóźnienia).

Po trzech miesiącach spakował jej rzeczy i dał do zrozumienia, że związek uważa za zakończony. Stało się to po kolejnym przydługim pobycie artystycznym Katarzyny w stolicy.

— Wie pan, jak to jest w tej branży... To się tak nie da powiedzieć: pracuję od siódmej do trzeciej i cześć. Trzeba czasu, wyrabiania układów, utrzymywania kontaktów. On nie rozumiał. Dostawał szału. Wypytywał, rozliczał z czasu... To nie mogło długo potrwać.

Pan pyta, jaki on był? No już mówiłam — przystojny, inteligentny...

— Tyle?

— Czy ja wiem? Narwany jakiś... Coś sobie przypomina. Nagle:

— Och! przepraszam. Tak tu siedzi-

my, a ja nie zapytałam, czego się pan napije.

Istotnie.

— Ma pan ogień?

— Nie palę, ale zaraz od kogoś pożyczę...

— Przepraszam za kłopot... Ale muszę zapalić.

Jest zdenerwowana. Nerwowo obraca paczką „Marlboro”.

Zaciąga się szybko.

— Miałam cholerny dyżur. Trzy zejścia... No, ale to nie jest temat...

— Upał przygonił do kawiarni tłumy. Kelnerki z trudem przeciskają się między stolikami.

— Jestem... to jest — byłam starsza od Karola o dwa lata. Kiedy go poznałam w czerwcu siedemdziesiątego piątego, pracowałam już trzeci rok w szpitalu. Miałam wielu kolegów, koleżanki... Powiem szczerze: nie myślałam o małżeństwie. Oważem, miałam kilku chłopaków, ale to nie były sprawy na ślub.

Zobaczyłam Karola na jakimś party. Siedział i nie odzywał się. Właściwie chyba się nudził. Potem spotkałam go w szpitalu. Coś tam zalał wiało na chirurgii. Zaprosił mnie na kawę...

Umiał wywierać efekt. Wychodziło mu to jakby od niechcenia. Był błyskotliwy, czytany. Przy tym wszystkim jednak jakiś zagubiony, roztargniony, niepozbitowany.

Myśli o czymś.

— Każda dziewczyna wierzy, że będzie mogła w jakiś sposób wywierać wpływ na chłopaka. Zmieniać go. Poprawiać. Właśnie, tak sobie teraz myślę, w tym jego niepozbitowaniu widziałam szansę.

Ślub był w sierpniu. Rozwód w listopadzie 1977 roku. Coś przegrałam...

Nie mogłam pogodzić się, że Karol nigdy nie zrozumiał, co jest dla mnie najważniejsze. Nigdy też nie zajęłam w jego życiu najważniejszego miejsca. Miał swój świat. Gonił za czymś...

Powoli się to wszystko skończyło, wygasło. Rozstaliśmy się bez wzajemnych pretensji. Pożegnaliśmy bez gniewu. Mnie został żal, że nie wyszło.

Biurowiec, korytarz, pokój. Typowość, nuda, herbata „Madras”, znaczek „Solidarności” na kołnierzyku niemodnej bluzki, fryzura sprzed tygodnia.

— Wie pan, że ja w ogóle nie powinnam bez zgody dyrektora z panem rozmawiać?

Gram. Obludny uśmiech „prerażeni”. Dowcip o Waleśie. Obietnica dwóch paczek „Ekstra Mocnych”. Tani komplement.

— Tak. Pracowałam u nas ostatnie dwa lata. Jeździł po budowach i nadzorował wykonanie. Bo my, wie pan, dużo budujemy... Nie był lubiany. Bez przerwy skargi. Kierownikom nie dał pożyć. Drobiazgowy był i formalista. Dyrektorowi potrafił wygarnąć, jak coś było nie tak. Nawet w zjednoczeniu.

Podpadał za to, że czasem trochę podpił, kogoś tam obraził. Cieli mu za to premie, ale z upomnieniami, czy naganami nikt się nie wychylał.

Dziewczynom się podobał... Po jego śmierci co niektóre to sobie popłakały.

No, ale ja to z panem w ogóle nie powinnam o Jastrzębskim rozmawiać. Po co to komu? Było, przeszło. Niech mu ziemia...

Kadrowa spogląda na zegarek.

— Cholera, dyrektor czeka...

Długo patrzy na zdjęcie. Na zdjęciu stoi dwóch chłopaków z plecakami. Jeden pokazuje na palcach znak-literę „V”. Rzecz dzieje się na autostradzie, drogowy znak informuje, że do Rzymu zostało osiemdziesiąt kilometrów. Niecała godzina dobrym wozem.

— To były nasze ostatnie wspólne wakacje. Lipiec 1974 roku. Pojechaliśmy z Karolem „stopem” do Włoch.

Poznałem go jeszcze podczas egzaminów wstępnych. Później byliśmy w jednej grupie, na jednym seminarium magisterskim. Wspólnie uczyliśmy się, zdawali...

Są ludzie, których poznaje się od razu niemal. Tacy, co to już po tygodniu wiesz, z kim masz do czynienia. Z Karolem było inaczej. W zasadzie nie miał kolegów. Unikali towarzystwa.

Znów zdjęcie. Mój rozmówca coś sobie przypomina.

— My wcale nie dojechaliśmy do tego Rzymu. Trafili nam się samochód do Neapolu i szybko zdecydowaliśmy, że lecimy dalej. Na południe.

Czy go znalazłem? To nie jest dobre pytanie. Wydaje mi się, że lepiej niż inni. Są sytuacje, które zbliżają ludzi. Przegadaliśmy z Karolem setki godzin. Wypili setki litrów „gazu”. Tak, bez przesady... Mogliśmy wypić sporo. Zwłaszcza — on.

Najkrócej powiem: on chciał złapać cały świat. Grał na całego, nie uznawał kompromisu. Dlatego pewnie wyszło tak, jak wyszło. Nie ma go.

Do dziewczyn nie miał „szczęścia”. To tak patrząc z boku. Jak było naprawdę? Ja myślę, że on się po nich Bóg wie czego spodziewał, a wychodziło — NIC. Jak się zakochiwał, rozum tracił i nie można było nawet dyskutować.

Gdy na to teraz patrzę, to myślę, że bardziej mu było potrzebna zrozumienia u kobiet, niż u świata...

Poszedł po studiach do roboty i od razu zaczął szarpać się. Świat zmieniać. Budownictwo polskiego sukcesu reformować. Kancelarzy niszczyć. Nierobów gonić. To nie było na jego sily. Dochodziły jeszcze te kolejne „pomyłki” (jak mówi) z dziewczynami. I zostawała woda.

Milknie i znów spogląda na zdjęcie. Zmęczony interpretacją. Życia. Cudzego.

W drzwiach:

— Cholera wie, może by go coś wyleczyło... Może „Solidarność”... Gdyby wytrzymał do lata...

Magda jest punktualna. Ja — nie.

Wchodzimy boczną furką w murze. Obok dwa przepelnione śmietniki. W górze zieleni drzew, pohukiwanie synogarlic. Dziecko na rowerku.

— Trafić łatwo — mówi. — Dwa razy w lewo, potem — kawałek prosto. Drugi rząd, trzeci pomnik.

Przed słowem: pomnik jakby się zawałala. Mogła powiedzieć: grób.

A pomnik jest przedwojenny, marmurowy. Dwa szeregi nazwisk. Porcelanowe fotografie.

Dla Karola nikt nie przewidział miejsca na płycie głównej. Kamieniarz wcisnął jego nazwisko na prostopadłości kolumnienki. Z boku z lewej strony. Zostawił trochę miejsca na „porcelanek”.

Magda zmywa płytę. Wkłada do wody trzy róże. Zapala znicz. Przez chwilę modli się.

Dwa rzędy dalej kopią dół u podnóża innego pomnika...

Rzemieślnik ma trudne życie. Grymasi, narzeki. Pomocnika „wcielo” trzy dni temu i wszystko na jego głowie. Przerzucą pudełko. W końcu z desperacją wstaje od stołu.

— Szlag by trafił! Gdzieś tu był. Wczoraj widziałem... Poszukajcie sami. Ja muszę zobaczyć piec...

Zostawia nas samych wśród kilkunastu (może i więcej) twarzy, uśmiechających się w ciemnej sepii, spod gładkiej powierzchni porcelany zamkniętej owalem złotej obwódki.

Magda przekłada je ostrożnie. Przy niektórych twarzach zatrzymuje się. Jakby chciała się spóźnić na to spotkanie.

Nie ma.

Jest rzemieślnik. Wchodząc rzucił męskim słowem.

— Popatrzcie znowu pekt.

I kładzie na stół dwa kawałki porcelanowej wiecznej pamięci.

— To się w głowie nie mieści! Czwar-ty raz pekt...

Magda przysuwa do siebie obie części.

Karol jest tu w starym swetrze i kurtce. Zarośnięty i nieuczczony. Uśmiechnięty, czy może tylko skrzywiony. Magda wstaje.

— To co? Mam dalej próbować, czy oddać zaliczkę? Są podobno tacy ludzie, których zdjęcia nijak nie da się zrobić w porcelance? Mówię, że buntują się zza grobu.

Magda spogląda na stół.

— Niech pan próbuje...

Stojmy przy kiosku „Ruchu”. Stąd ma do domu czterdzieści metrów. Musi minąć piaskownicę i śmietnik. W piaskownicy bawią się dzieci, choć zabrakło piasku. Śmietnik jest uprzątnięty. Na drugim piętrze otwarte okno.

— Mam taki sen — mówi. — Sni mi się, że wracam do domu i tu właśnie spotykam Karola. Chcę mu coś powiedzieć, ale on szybko odchodzi. Wtedy się budzę. Podchodzę do okna i patrzę, czy jest z powrotem. Czy wrócił na to miejsce.

— Co mu chcesz powiedzieć?

Patrzy zdziwiona. Chwilę się zastanawia.

— Nie wiem...

marzec 1980 — czerwiec 1981.

PS. Imiona i nazwiska w tekście zostały zmienione.

# POCZĄTKI UNIWERSYTETU W JASSACH

Małgorzata Willaume

**Z**JEDNOCZENIE w 1859 r. Mołdawii i Wołoszczyzny w jedno państwo — Rumunię stanowiło ważny etap w dziejach narodu rumuńskiego. Obok znaczenia politycznego fakt ten miał poważny wpływ na przyspieszenie rozwoju rodzimej kultury i nauki. Wkrótce bowiem, po uporządkowaniu w młodym państwie wewnętrznego życia politycznego, Aleksander J. Cuza — pierwszy jego organizator, przystąpił do kształtowania nowych warunków dla rozwoju nauki. Istotnym posunięciem w tej dziedzinie było tworzenie w państwie rumuńskim wyższych uczelni. Pierwszą z nich został założony w 1860 r. uniwersytet w Jassach, kolejną zaś uniwersytet w Bukareszcie (1864 r.).

Dlaczego wybór Al. J. Cuzy padł właśnie na Jassy? Przypuszczalnie odegrał w tym pewną rolę czynnik osobisty — wszak fundatorem był Mołdawianin. Jassy już od wielu dziesięcioleci stanowiły kulturalne centrum Mołdawii. Tutaj od pierwszych lat XIX stulecia rozwijano z zupełnie dobrym rezultatem szkolnictwo średnie.

Godzi się wspomnieć o roli Jerzego Asachi w rozwoju szkolnictwa mołdawskiego. Bez takich indywidualności trudno byłoby mówić o postępie i pogłębianiu wiedzy wśród ówczesnej młodzieży. Asachi był m.in. twórcą i założycielem szkoły inżynierów, a więc placówki o profilu zdecydowanie technicznym. Otwierając ją w 1813 r., wypełnił on poważną lukę w strukturze szkolnictwa ówczesnych lat. Szkoła J. Asachi stwarzała również możliwość kontynuowania studiów medycznych, fizycznych czy chemicznych w uczelniach zagranicznych. Obok zaś wiadomości teoretycznych dawała swym uczniom praktyczną znajomość zdobytej wiedzy.

Nie ona jednak stała się załącznikiem przyszłej wyższej uczelni. Była nim powstała w 1835 r. Academia Mihailiană, nazwana tak od imienia jej twórcy — hospodara Mihaila (Michała) Sturdzy. Na trzech wydziałach Akademii: filozofii, prawa i teologii wykładano w języku rumuńskim. Wprowadzono poza tym wolne wykłady z innych przedmiotów, a także specjalistyczne zajęcia z geometrii praktycznej i ekonomii. Pracowało tu wielu wybitnych profesorów, później-

szych organizatorów zjednoczonego państwa rumuńskiego. Wśród nich na czoło wysunęli się m. in.: Jan Ionescu de la Brad — wybitny specjalista w dziedzinie rolnictwa, Jan Ghica — znany polityk, a zarazem ceniony specjalista geolog, Eftimie Murgu — organizator filozofii mołdawskiej czy wreszcie Michał Kogalniceanu — jeden z najlepszych historyków owych czasów. On właśnie znalazł się w ścisłym gronie współorganizatorów wyższej uczelni w Jassach.

Uroczystego aktu otwarcia, w obecności księcia Al. J. Cuzy, dokonano 26 października 1860 r. Warto zaznaczyć, że wydarzenie to miało nie tylko wielkie znaczenie dla rozwoju nauki rumuńskiej, ale stało się również symbolem odradzającego się młodego narodu europejskiego.

Korzystając z doświadczeń Akademii Mihailiană, uniwersytet rozpoczął pracę na trzech wydziałach odziedziczonych po swej poprzedniczce. Zwiastunem nowych zmian było wprowadzenie wykładów z dziedziny chirurgii, które krótko po otwarciu rozpoczął dr Negură.

Zdecydowanie bardziej wszechstronny rozwój poszczególnych kierunków nastąpił na przełomie stuleci. Odzwierciedlając ówczesne, europejskie, tendencje do pogłębiania „wiedzy pozytywnej”, główny nacisk położono na rozbudowę kierunków ścisłych. I tak w 1892 r. z sekcji fizycznej wydzieliły się dwie katedry chemii: organicznej i nieorganicznej, w 1897 r. zaś wprowadzono wyodrębnione wykłady z fizyki molekularnej, akustyki czy optyki. Wreszcie w latach 1897—1899 ukształtował się zasadniczy profil medycyny.

Stale rozrastający się młody uniwersytet coraz trudniej mieścił się w niewielkim budynku początkowo dla niego przeznaczonym. Wreszcie w 1897 r. otrzymano na wybudowany według projektu Ludwika Le Blanca okazały gmach, w którym do dziś pozostaje jeszcze kilka wydziałów. Stary zaś budynek objął w posiadanie wydział medycyny.

Na przestrzeni co najmniej osiemdziesięciu lat przechodziła uczelnia w Jassach różne koleje losu. Wyraźny wzrost dał się zaobserwować po pierwszej wojnie światowej. Wówczas to

szczególnie silnie rozbudowano wewnętrzną strukturę uniwersytetu tak, że w latach 1938—39 liczyła ona już pięć wydziałów. W wyniku zaś rozwoju nowych specjalizacji w nauce światowej oraz powstawania zupełnie nowych dziedzin wiedzy, po II wojnie światowej liczba wydziałów uległa podwojeniu, a tym samym znacznie wzrosła liczba sekcji (do ok. 30). W latach powojennych naukowe środowisko w Jassach coraz żywiej uczestniczyło w wymianie myśli i teorii naukowych. Temu celowi służyła i nadal służy współpraca z licznymi ośrodkami uniwersyteckimi na całym świecie, m.in. z lubelskim UMCS.

Liczni profesorowie wykładający w uniwersytecie, który nosi imię swego fundatora, wywarli znaczny wpływ na rozwój nauki rumuńskiej. Już na przełomie stuleci spotykamy tu wybitnych specjalistów, jak np. Al. Philippide, twórca katedry historii języka rumuńskiego, A. D. Xenopola znakomitego historyka. Również przed pierwszą wojną nastąpił znaczny rozwój miejscowej matematyki, co było wyraźną zasługą Al. Myllera, założyciela seminarium matematycznego. Wokół tego uczonego skupiło się grono uczniów tworząc znana szkołę matematyczną. Biblioteka zaś seminarium jeszcze do dziś uchodzi za jeden z najbogatszych zbiorów specjalistycznych w Europie. Warto zaznaczyć, że podjęte przez Al. Myllera badania z zakresu geometrii kontynuował Octav Mayer, a następnie J. Popa, J. Creangă i in.

Pośród nauk humanistycznych na baczność uwagę zasługuje m.in. archeologia. Wiele prac dotyczących początków Mołdawii i rozwoju poszczególnych kultur na jej terenie wyszło spod pióra znawcy przedmiotu M. Petrescu-Dimbovită. W licznym gronie historyków nazwiska badaczy I. Gramadă, Jerzego Platona czy Leonida Boicu, wskazują nie tylko specjalistów dziejów własnego narodu, ale zarazem cenionych znawców dziejów powszechnych.

Nie sposób w tak krótkim szkicu ogarnąć wielokierunkową działalność uczelni w Jassach. Należy jednak stwierdzić, że miejscowi naukowcy od ponad 120 lat stale i konsekwentnie dążą do realizacji tych celów i zadań, które postawiono przed nimi jeszcze w ubiegłym stuleciu — do szukania nowych prawd naukowych, badania ich i opisywania, a także przykazywania młodym pokoleniom swego doświadczenia i wiedzy.



Budynek uniwersytetu w Jassach.

## CICHA REWOLUCJA W SZKOLE

**M**IESIĘCZNIK „Profil”, wydawany w języku polskim, a wychodzący w Hamburgu (ładna szata graficzna, dobry język), przyniósł niedawno interesujący artykuł Horsta Speicherta pt. „Cicha rewolucja w szkole”. Pewne fragmenty warto przytoczyć — może zachodniemieckimi eksperymentami zajmą się na polskim gruncie nasi pedagodzy.

Pod koniec lat sześćdziesiątych przydarzyła się Meinolfowi Schönke (obecnie wykładowca pedagogiki w Hamburgu) następująca przygoda. Przygotowując dyktando, polecił uczniom napisać kilka słów na tablicy. Nagle stwierdził, iż jedno ze słów zostało napisane błędnie. Po czym, jak przystało na „dobrego” pedagoga, zrobił dokładnie to samo, co podpatrzył u innych „dobrych” pedagogów — polecił dzieciom poszukać na tablicy owego błędnie napisanego słowa, przekreślić je i ponownie napisać prawidłowo.

Po kilku dniach, poprawiając w domu zeszyty z owym dyktandem, stwierdził, że wszystko było na nie — spośród 42 dzieci dokładnie 14 powtórzyło tamten błąd z tablicy.

Schönke nie chciał się z tym faktem pogodzić. Z wykształcenia psycholog

wiedział, że irytacja bywa dobrym podłożem dla przemyśleń. Przede wszystkim zaś przypomniał sobie pewną psychologiczną prawidłowość, opisaną jeszcze w 1900 r. przez Müllera i Pilzbeckera.

Obaj ci psychologowie stwierdzili mianowicie, że wyuczenie się treści podobnych przychodzi trudniej — właśnie z powodu owego podobieństwa. Te „pro — i retroaktywne zahamowania” były prawdopodobnie przyczyną błędów, który, pomimo że nauczyciel poświęcił mu tak wiele uwagi, powtórzył się następnie aż w 14 zeszytach uczniowskich. Trudno bowiem o większe podobieństwo, niż to, jakie występuje między słowem z błędem ortograficznym, a tym samym słowem, tyle tylko, że napisanym prawidłowo.

Tak oto doszedł Schönke do przekonania, że powszechnie stosowana w szkołach praktyka podkreślania słów napisanych błędnie do niczego w gruncie rzeczy nie prowadzi. Ażeby się o tym upewnić, przeprowadził eksperyment. W dwu różnych klasach, prowadzonych przez jednego i tego samego nauczyciela, polecił „wprowadzić” szereg nowych słów. Natomiast błędy w pisowni były następnie korygowane w rozmaity sposób.

W klasie „eksperymentalnej” słowa napisane błędnie zaklejało się kaskiem papieru, po czym obok pisało to słowo

prawidłowo. Zaś w klasach „kontrolnych” nauczyciel postępował tak, jak dotychczas, czyli podkreślał błędy czerwonym ołówkiem.

Rezultat tego eksperymentu okazał się dokładnie taki, jakiego Schönke oczekiwał: klasa eksperymentalna — której uczniowie stali pod względem pisowni w ogóle gorzej niż ich koleżki z drugiej klasy — popełniła w porównawczym dyktandzie o połowę mniej błędów, aniżeli klasa „kontrolna”. Eksperyment monasterskiego nauczyciela, opublikowany na łamach prasy pedagogicznej, został szeroko uwzględniony w praktyce — dziś, po upływie 15 lat, metoda Meinolfa Schönke jest stosowana przez większość nauczycieli w kraju, pomimo tego, że wymaga ona niewątpliwie większego nakładu czasu i pracy.

Interesująca jest inna metoda, stosowana np. przez nauczycielkę Christel Manksę z Bremy, gdzie idzie o uczniów mających trudności z odróżnieniem niektórych podobnie brzmiących zgłosek, np. „p” i „b”. Otóż pani Mankska każe takim uczniom wymawiać te zgłoski trzymając przed ustami np. otwartą dłoń: puszki gości: przy „p” puszka ulatuje, przy „b” pozostaje na dłoni.

A oto inny problem poruszony przez autora.

Słynny pedagog Kewin, który w latach trzydziestych wyemigrował do USA, gdzie niebawem zdobył ogromną popularność, twierdził, że ambicje i możliwości ucznia stają się tym większe, im bardziej ewidentne są jego sukcesy — i odwrotnie. W latach sześćdziesiątych teoria ta, „zaimportowana” z USA, upowszechniła się również w Republice Federalnej Niemiec. O jej praktycznym znaczeniu można się przekonać na następującym przykładzie.

Grupa pedagogów przeprowadziła w

jednej z klas eksperyment z nowym systemem bodźców. Na zajęciach z zakresu kultury fizycznej (skoki w dal) udzielano pochwał, nagan oraz uwag neutralnych nie według praktycznych osiągnięć sportowych uczniów, lecz według uprzednio opracowanego sztywnego schematu. Niektórzy uczniowie dostawali zawsze pochwały, inni nagany, a dla trzeciej grupy były przewidziane jedynie neutralne uwagi. W rezultacie okazało się, że ci spośród uczniów, którzy byli stale chwaleni, niebawem tak wyraźnie poprawili swoje wyniki sportowe, że pierwotne pochwały „na kredyt” były już w pełni uzasadnione.

Zasada ta znalazła potwierdzenie również w nauczaniu szeregu innych przedmiotów. Wiadomo przy tym, że wpływ pochwał na postępy ucznia jest tym większy, im bardziej dany uczeń jest nieśmiały, niewiara we własne siły jest w wielu wypadkach — jak dowiodły wyniki badań przeprowadzonych przez specjalistę w tej dziedzinie, Ralfa Schwarzera — jednym z głównych powodów porażek uczniowskich w szkole.

W normalnej pracy szkolnej można z reguły zaobserwować następującą reakcję łańcuchową. Ponieważ stopnie i cenzury ustalane są według średniego poziomu danej klasy, przeto „dobrzy” uczniowie otrzymują zawsze dobre stopnie, a tym samym pozytywne bodźce do dalszych wysiłków. Natomiast uczniowie z dolnych szczebli skali ocen, którzy i tak już cierpią pod brzemieniem swych lęków i nieśmiałości, otrzymują znowu kiepskie stopnie, dodatkowo podważające ich wiarę we własne możliwości.

Jakie wyjście? Można w ogóle nie stosować jakichkolwiek stopni. Są i takie szkoły. Ale to już w polskich warunkach pachniałoby... anarchią!

## POCZTA LITERACKA

Teresa B-S. Olawa. Osobiście nie jestem entuzjastką Naleczowa, któremu właśnie poświęca Pani całą swoją urlopową węgę i nie tu patriotyzm lokalny nie wskóra. Swoje zamknięcie do wiersza białego podpięta Pani autorytetem Miłosza, który od niego także nie stronił. Pozostawmy jednak te wysokie konsekwencje na bok. Otóż, niezależnie od zalet białego wiersza, który przebiegał zdominował dwudziestowieczną poezję — pozostaje on nadal kuszącą łatwiną, która ma usprawiedliwić gadulstwo, brak treści i nadużywanie słów w rodzaju:

Niech szczerze ból  
Gdy wuję żal.

Wiedomo, że

Serca kol  
Pociewitrze Naleczowa

— lecz nas interesuje poezja, a nie informacja medyczna. Sprawy definitywnie ucinają „La comparsita” i „czerwone róże u Eweliny”, a to dlatego, że nie należy już tego zasznużonego tanga niepokoić zlymi wierszami. To w sumie brzmi okrutnie i obcesowo, ale cóż, takie jest życie, nawet w Naleczowie.

Stefan Z. Ciechanów. Tak rzadko „Pocztą Literacką” trafia w nadsyłanych korespondencjach na komplementy, że nie mogę odmówić sobie i jej czytelnikom cytatu z Pańskiego listu: „... rzetelnie oceniacie debiutantów, traktując ich niezwykle poważnie”. Zabrzmiało to rzeczywiście poważnie, ale czytając uwagi o cudzych utworach, łatwiej było Panu dojść do takiego wniosku. Zastanawiamy jednak do Pana utworów. Opanowała je refleksyjność w złym wydaniu, ta tradycja, dotycząca m. in. przemian, z jego poetycko bardzo ograniczonymi motywami. Dalej postępują: poczucie samotności, rozczarowania życiowe oraz szukanie pocieszenia w wielkości przyrody. Program bogaty na długie poetyckie życie, lecz w tej świątyni pełnej świątków tak bardzo już starych, do których pielgrzymują wszystkie pokolenia poetów, porusza się Pan ze swobodą turysty, a nie wyznawcy. To mój główny zarzut, nie wymagający zapewne szerszego komentarza. Pamiętajmy przy tym, że żaden temat nie ma patentu nietykalności, a jedynie kryć może w sobie groźbę wtórności, toteż moje zastrzeżenia dotyczą głównie poetyckiej kreacji, formy. A właśnie ona walczy utrwała w czytelniku poczucie nieudolnego epigonstwa. Na pierwszy plan idą tu rymy i zwrotki. W pancerzu rymów wiersze Pana tracą wszystko, czuje się ich terror, podporządkował im Pan całą konstrukcję zwrotki, w rezultacie wiersz istnieje nie dla treści, tylko dla rymu:

Pamiętam — byłem jeszcze mały  
Wierzbę usiadła nad rzeką  
I uoda z deszczem rozmawiał  
A głos mój niósł się daleko.

Staroświecczyzna i nieudolność takich landszaftów musi zacząć budzić w Panu autorski niesmak, w przeciwnym razie nigdy nie ruszy Pan z miejsca. W grupie całkowicie niewypałów umieszczam: „Niewypał”, „Pociąg”, „Pragnienie”, „Zapomniany portret”.

Wanda K. Ryki. Nazywa pani „Kamień” „cennym dwutygodnikiem”, którego wierną czytelniką jest Pani od szeregu lat. Po dzielnym w zupełności opinii Pani o „Kamieniu”: to fascynujące pismo utrzymuje się przy życiu już prawie 50 lat, a ostatnio, z powodu trudności papierniczych miało nawet „szanse” stać się miesięcznikiem, co przy niezmiernie dużej objętości 12 stron, uczylibyśmy go najbardziej „zwyczajnym” miesięcznikiem wszechczasów. Niestety, taka nobilitacja nie obszaruje się bez konsekwencji dla poezji. „Pocztą literacką” musiałaby zadać od poetów wierszy o połowę krótszych, albo sama przerabiał je i skracać z właściwą jej arogancją i niekompetencją. A nadany przez Panią wiersz Iwonki z VIII klasy nie ma szans nawet w obecnej „Kamieniu”, a ponadto pachnie mistyfikacją, gdyż Iwonka z VIII klasy nie może pisać wierszy o tej treści.

Mirosława K. Brzeźno Szlachetka. Chyba Pani przewidziała, że ocena nadesłanych utworów będzie negatywna, gdyż w zakończeniu korespondencji przesyła Pani pełne niezamierzane (zapewne okrucieństwa) życzenia „udanego urlopu, słonecznego, dobrego poczynku, a gazecie większego nakładu”. Niestety, nie z „tych rzeczy”. Przez całe wakacje w „Pocztę Literacką” obowiązuje rewolucyjna czynność a co do nakładu, to lepiej nie wywoływać wilka.

H. P.

## OKOLICE SZTUKI

### Zamojski surrealizm

SALA wystawowa zamojskiego BWA liczy 54 m kwadr., co pod względem fizycznej wielkości daje placówce bodaj ostatnie miejsce w kraju wśród instytucji o podobnym charakterze. Sprawa ta wygląda lepiej nawet w Koninie, gdzie zamiast tradycji artystycznej mamy węgiel brunatny, większym pomieszczeniem dysponuje też BWA we Włocławku, co jednak jest jakoś zrozumiałe wobec faktu, że w tym właśnie mieście Igor Newerly ulokował akcję „Pamiętki z celulozy”. W Zamościu, jak wiadomo, węgla ani celulozy nie ma, a trudno wymagać, by istniejące tu zakłady mięsne oddały BWA jakąś halę produkcyjną. Miego zresztą stało się w kraju wartością niemalże artystyczną — popatrzeć można, ugryźć trudno — i kto wie, czy po zakończeniu reformy administracji centralnej nie znajdzie się w gestii Ministerstwa Kultury i Sztuki.

Zamojska salka ekspozycyjna posiada przecież swoje zalety: zabytkowy strop belkowany, który już nie grozi zawaleniem, oraz dwa okna wychodzące na rynek zwany pl. Mickiewicza, choć z powodów oczywistych nosić winien imię pewnego Włocha z czasów renesansu. Otóż z okien tych widać nieźle, jak wilgotne liszaje atakują elewacje niektórych dopiero co odremontowanych kamieniczek. Zamość okazuje się być miastem nieustannie atrakcyjnym dla przybysza z zewnątrz, żywym, dalekim od formuły zdabanego skansenu.

Magazyn BWA ma natomiast metrów sześć i dzięki temu jest on naj-

mniej w świecie, chroniąc właściwie wszystko, co materialne i potrzebne do działalności instytucji wystawienniczej, m.in. dzieła sztuki, plansze reklamowe, różne narzędzia, katalogi, a nawet drut.

15 m kwadratowych liczy z kolei pokój, w którym funkcjonuje siedmiu pracowników BWA. Ludzie ci przywykli do siebie, nie popadają w konflikty, więc właściwie sprawy nie ma. Podobnie jak normalnych warunków do pracy, która mimo swych związków ze sztuką wymaga przecież myślenia i szerszego oddechu. Dyrektorka instytucji zajmuje pokój 9-metrowy, tyle że pozbawiony światła dziennego i wentylacji. Osoba ta wrok ma dobry, energii też jej nie brakuje, więc o czym tu mówić w pięknym mieście z tradycjami, średnią szkołą plastyczną i 16 członków liczącym oddziałem ZPAP, dla których ciągle brakuje pracowni?!

Wszystko, o czym była mowa, mieści się w końcu w normie, w naszej codziennej, polskiej normie. Zamojskie BWA wkracza w rejony surrealizmu dopiero wówczas, kiedy spojrzymy na jego działalność. I nie chodzi mi o to, że w tym skromnym przybytku odbywa się dużo wartościowych wystaw plastycznych, że urządza się imprezy ogólnopolskie w rodzaju cyklicznej ekspozycji „Dziecko w sztuce” czy „Zamość w sztuce”, że konsekwentnie pokazuje się prace wybitnych artystów krajowych, nie zaniedbując zarazem miejscowych malarzy, grafików i rzeźbiarzy. Chodzi mi natomiast o to, że cały program działalności placówki, która samodzielnie istnieje dopiero od 1975 roku, opiera się na realistycznym rozpoznaniu oczekiwań, potrzeb i braków w zakresie kultury estetycznej lokalnego środowiska. W praktyce manifestuje się to różnorodnością oferty wystawienniczej BWA, która obejmuje tak skrajne fakty, jak spotkanie ze Zbigniewem Dłubakiem i „Seminarium warszawskim”, rozważającym na terenie sztuki kwestie teoriopoznawcze, czy — z drugiej strony — wystawa malarstwa Franciszka Małuszczaka, tego naszego przewartościowanego „nawisty”, który niedługo

zresztą uczył się w zamojskim liceum plastycznym. Taka rozpiętość uświadamia publiczności szerokość zakresu pojęcia sztuka, jakie dziś funkcjonuje, można mniemać, że w spodziewany sposób narusza konwencjonalne wyobrażenia o naturze twórczości artystycznej. W płaszczyźnie bezpośrednio edukacyjnej mieszczą się natomiast imprezy organizowane np. w ramach stałej współpracy BWA z krakowską Akademią Sztuk Pięknych. Mam tu na uwadze znakomitą wystawę prac wykładowców wydziału grafiki tej uczelni, połączoną z pokazem całej „kuchni” graficznej. Pokaz cieszył się nadzwyczajnym zainteresowaniem publiczności, należy przypuszczać, że z podobnym przyjęciem spotka się przyszłoroczna ekspozycja rysunku artystów związanych z ASP. Dodajmy, że zamojskie BWA stara się wykorzystywać też filmy w swej działalności oświatowej, ale w sposób daleki od obowiązującego stereotypu. Oto podczas wystawy scenografii Skarżyńskich wyświetlano w kinie „Stylowy” dwa głosne swego czasu filmy fabularne: „Rękopis znaleziony w Saragossie” i „Sanatorium pod klepsydrą”, do których wspomniany artyści projektowali kostiumy i scenografię. Z kolei ekspozycji rysunków Szymona Kobylińskiego towarzyszył film „Kiedy były Szwedzi”, zrealizowany m.in. przy udziale znakomitego felietonisty (rysującego).

Zamojskie BWA dorobiło się stałej publiczności, regularnie współpracują z placówką czołowi polscy plakacisci: W. Świerzy, J. Miodożeniec, M. Urbaniec, T. Grabowski, J. Erol. Czy nie traci to surrealizm, tym bardziej, że wywodzi się z poczucia realizmu — tyle że ukształtowanego na piętze wyższym, niż ten mały, chędogi realizm, rozwijający się pod hasłem równania do przeciętności i tak dziś modny?!

IJK

P.S. Wiele wskazuje na to, że BWA otrzyma dodatkowe pomieszczenia w Zamościu. Może więc tytuł tego felietonu winien brzmieć: „Zamojski realizm?”

## EKRAN I WIDZ

### Horror kosmiczny i rodzimy

Import filmów zamiera. Znałszy przedmiotu starają się pocieszyć nas i siebie, że powinniśmy w obecnej sytuacji zwrócić szczególną uwagę, aby z dostępnego dla naszej kieszeni tzw. pierwszego obszaru płatniczego — gdzie płaci się złotówkami a nie dolarami — kupować filmy najbardziej wartościowe. Ze takich filmów jest bardzo wiele, także wyprodukowanych w ostatnich latach, których nie wiedzied jakich przyczyn nasi dotychczasowi spece od zakupów i od kultury filmowej nie chcieli zauważać, wbrew wołaniu o nie przez krytykę filmową. Pewnie, jakaś pociecha jest, ale i tak pozostaje oczywistym fakt, że w zaskakujący sposób zaczyna zniknąć z obszaru naszej świadomości wszystko to, co dzieje się w kinie zachodnioeuropejskim, amerykańskim, południowoamerykańskim, japońskim a nawet niedalekim, jugosłowiańskim, bo i za tamtejsze filmy trzeba płacić twardą walutą. Jest szansa, że wpłyną do kasy

Filmu Polskiego znaczne sumy ze sprzedaży „Człowieka z żelaza” Andrzeja Wajdy; choć zakupu tego filmu zgłosiło już kilkadziesiąt krajów z całego świata — rzecz tylko w tym, aby pieniądze uzyskane w ten sposób poszły na zalatanie przerażającej luki repertuarowej, a nie na inne cele, zupełnie nie związane z filmem.

Póki co, my kinomani, tropimy w repertuarze wszystkie te „dogrywane” tytuły, na które nie znaleźliśmy kiedyś czasu, albo wręcz uznaliśmy za niegodne naszego zainteresowania.

Do takich filmów należy m. in. angielski dramat z gatunku science-fiction „Saturn 3”, nakręcony przez Stanleya Donena z udziałem Kirka Douglasa oraz startującej na dużym ekranie bohaterki telewizyjnej serii „Aniołki Charliego” — złotowłosej i białozębnej Farrah Fawcett-Majors. Tutaj właśnie „ostatni cowboy” próbuje się sprawdzić jako nieco sfrustrowany (choć wciąż męski) dowódca stacji kosmicznej na Saturnie, zaś Farrah Fawcett-Majors, jego filmowa asystentka oraz towarzysząca „życia, próbuje się sprawdzić — niestety bez rezultatu — jako aktorka. Film podoba się przede wszystkim młodzieży do lat dwunastu, bo do tego wieku jeszcze nie zauważyła się wszystkich oczywistych naiwności scenariusza ani braków w grze aktorskiej, natomiast podziwia się wszelką technikę. A takowej w opowieści o perypetiach załogi „Saturna 3” nie brakuje, na czele z piekielnym robotem, który wyrwał się spod kontroli, przejął chorą oraz zbrodniczą mentalność jednego z kosmonautów i próbuje zawładnąć stacją kosmiczną. A żeby horror

był jeszcze większy, reżyser każe robotowi-złoczyńcy zapalać grzeszną namiotnością do pięknej kosmonautki.

Wszystko to przypomina trochę niektóre wątki z „Odysei Kosmicznej 2000” Kubricka, trochę atmosferę „Alien — 8 pasażerów Nostromo”, ani się zresztą uymyając do dzieła Stanleya Kubricka. Kosmiczny horror w „Saturnie 3” jest tyleż naiwny, co wtórny.

Prawdziwy „horror” prezentowany jest natomiast na ekranie jeszcze zanim poświęcimy uwagę kosmicznym przygodom z dalekiej przyszłości: to temat, któremu poświęcona jest Polska Kronika Filmowa nr 42/81, wyświetlana przed „Saturnem 3”. Problem narkomanii wśród polskiej młodzieży! Jeszcze do niedawna myśleliśmy, że narkomania jest sprawą marginalną w naszym kraju. Lekceważono ten problem, może nawet — ukrywano z przerażającą beztrością fakt jego istnienia. Nagle, kiedy wolno już sprawę wyciągnąć na światło dzienne, okazuje się, że mamy... 600 000 (szesześć tysięcy!) narkomanów, a dla ich leczenia... 29 (dwadzieścia dziewięć!) łóżek szpitalnych. I że jedynym miejscem, gdzie się leczy narkomanów jest prowadzony przez doktora Jankowskiego ośrodek rehabilitacyjny w Głogowie. Tam właśnie znajduje się owych 29 łóżek, czyli miejsce dla ludzi, którzy popadli w szpony nalogu. Bijemy zapewne rekord światowy: dwadzieścia tysięcy narkomanów na jedno łóżko szpitalne! Włos się jeży. Kosmiczny horror wydaje się po prostu śmieszny przy tym naszym horrorze rodzimym.

M. D.

## KRONIKA

• Pierwszą rocznicę robotniczego protestu na Lubelszczyźnie (lipiec 1980) uczczono wiecami, które oprócz wielu tysięcy pracowników zakładów pracy zgromadziły przedstawicieli „Solidarności”, władz administracyjnych i partyjnych oraz kurii biskupiej. W świadniczkę WSK odśpiewano pamiątkowe obeliski, w lubelskiej FSC tablicę pamiątkową, w LZNS — pomnik złożony z krzyża i postaci robotnika.

• W przyszłym roku w rodzinnej wsi Jana Poeka (Markuszów koło Lublina) stanie pomnik tego wybitnego poety chłopieckiego. Przy okazji informujemy więc, że w niektórych księgarniach można jeszcze nabyć tom wierszy Poeka, wydany w milonim roku.

• Na targowisku lubelskim przy Al. Tyścialecia od dłuższego już czasu handluje się książkami. Ceny niektórych tytułów przekraczają ceny kilograma schabu, oferowanego w pobliżu. Na początku lipca 10-tomowe wydanie dzieł zebranych Norwida można było kupić za 6000 zł, a tłumaczoną z hebrajskiego przez Cz. Miłosza „Księgę Hioba” — za 400 zł. Tymczasem na śmietnikach znajduje się jeszcze książki klasyków naszej literatury.

• Z egzaminów wstępnych na uczelnie Lublina: 134 kandydatów walczyło o 15 miejsc na filozofii chrześcijańskiej KUL, a 112 — o 25 miejsc na historii sztuki tego uniwersytetu. Natomiast do egzaminu na fizyce UMCS zgłosiło się zaledwie 36 osób, choć uczelnia mogła przyjąć 90. Wyjątkowo klepskim przygotowaniem „chwalił się” zdający na pedagogikę kulturalno-oświatową. O pracy w placówkach kulturalnych nadal, zdaje się, myślać ci, którzy nie mają szans gdzie indziej. Ale czy można się temu dziwić?

• W Lublinie kręcono zdjęcia do filmu dokumentalnego o Henryku Wieniawskim.

Mamy nadzieję, że operator zespołu znalazł jakieś dobre miejsce, by w lepszym świetle przedstawić pomnik wybitnego kompozytora i wirtuozą, na który natknął się niewątpliwie w rodzinnym mieście Wieniawskiego.

• 173 osób z 13 krajów świata uczestniczy w zajęciach różnych kursów polonijnych lub przebywa na koloniach młodzieżowych w Lublinie. Podczas spotkania u prezydenta miasta delegaci Polonusów oświadczyli spontanicznie, że wzywaniem mają dobre.

• W imprezach Zamojskiego Lata Teatralnego brało udział niemal 20 tys. widzów. Oto jedna z nieformalnych inicjatyw kulturalnych, która spełnia społeczne oczekiwania. Serdeczności dla p. Jana Wojnowicza, szefa zamojskiej kultury.

• Dawno temu powołano specjalną komisję, która miała zbadać okoliczności i ustalić winnych zniszczenia części spuścizny po Wiktorze Ziolkowskim. Fakt ten ogłoszono w prasie — raz, drugi. Dotąd jednak nie podano do publicznej wiadomości, co też takiego komisja owa zdołała ustalić. Czekamy więc — niecierpliwie.

• Wydawnictwo KUL opublikuje wszystkie księgi Starego i Nowego Testamentu w przekładzie Cz. Miłosza oraz dwa tomy esejów, artykułów i recenzji autorstwa poety. Przewiduje się ponadto reedycję „Księgi Hioba”.

• 20 lipca na ementarzu przy ul. Lipowej odsłonięto pomnik ku czci więźniów Zamku Lubelskiego, rozstrzelanych 4 lutego 1941 r. i 23 lipca 1944 r. W tym samym dniu otwarto wystawę „Słowo o nieznanym bohaterach”.

• W Białej Podlaskiej wydarzenie: staraniem tamtejszego Muzeum Okręgowego doszło do otwarcia w sali WDK wystawy malarstwa Ferdynanda Ruszczyca, w którym uczestniczyła córka malarza, autorka znanej wielu pokoleniom Polaków „Ziemni” obraz nie znalazł się w ekspozycji, złożonej z ok. 50 prac).

# TAJEMNICE LUDZKIEJ NATURY

W publikacjach okultystów zapisy o istnieniu i zatopieniu Atlantydy zaczynają się pojawiać około roku 1800. Znacznie wcześniej natomiast wśród alchemików okresu Odrodzenia napotkać można przekazy mówiące, że alchemia, astrologia i magia powstały w świątyniach Atlantydy, gdzie powodzeniem uwięzione zostały badania możliwości przemiany metali nieszlachetnych na srebro i złoto.

W drugiej połowie XIX wieku wiadomości na temat Atlantydy zaczynają odgrywać istotną rolę w naukach teozofów, antropozofów i przedstawicieli innych kierunków okultystycznych. J. Bramwell podkreśla jedność koncepcji większości odmian współczesnego mu okultyzmu. Wyjaśnia to tym, że wszystkie nauki ezoteryczne pochodzą z jednego źródła, a mianowicie z dawnych ksiąg indyjskich, niedostępnych dla niewtajemniczonych, a przechowywanych podobno w podziemiach, tajnych świątyniach Indii. W gruncie rzeczy, w Europie i Ameryce pierwszymi ich źródłami są dzieła i pisma wybitnych okultystów, takich jak H. P. Blawackiej, M. Manzi, W. Scott-Eliota, W. P. Phelona, R. Steinera i innych.

Wybitną rolę w tworzeniu i sformułowaniu okultystycznej legendy o Atlantydzie odegrała Helena Pietrowna Blawacka, z pochodzenia Rosjanka, która niemal całe życie spędziła poza granicami swego kraju, z czego wiele lat w Indiach.

Helena Blawacka (1831—1891) urodziła się w Jekaterynosławiu (obecnie Dniepropietrowsk) w rodzinie szlacheckiej, zbliżonej do sfer arystokratycznych. Jej ojcem był pułkownik artylerii Piotr Hahn, z pochodzenia Niemiec, zaś matką Helena Fadiejew, spokrewniona z książęcym rodem Dołgorukich.

Helena Hahn była dzieckiem nerwowym i niesfornym, przejawiającym wyraźne zdolności muzyczne i do języków obcych. Lubiła samotność, jednak potrafiła wywierać przemożny wpływ na swoich rówieśników, wywołując wśród nich podobno nawet objawy halucynacji. Sama też ulegała często atakom nerwowym, czasem w nocy budziła się z krzykiem lub chodziła we śnie somnambulicznym.

Wbrew woli rodziców poślubiła, w siedemnastym roku życia, znacznie od siebie starszego generała Nikifora Blawackiego, wicegubernatora prowincji erylwańskiej na Kaukazie. Uczyniła to w tym celu, aby uwolnić się od opieki rodziców. Jednak po trzech miesiącach uciekła od swego męża, podobno jako virgo intacta, i przez lat dziesięć podróżowała po wszystkich niemal krajach świata. Zwiedziła w tym czasie Azję Mniejszą, Grecję i Egipt, jednak w gruncie rzeczy nie wiadomo dokładnie, gdzie i jak spędziła te lata.

Była ponoć także w Paryżu, skąd w roku 1851 udała się do Kanady, a następnie do Meksyku i Tybetu. W roku 1855 pojawiła się w Londynie, skąd ponownie udała się do Indii. Podobno spędziła tam trzy lata (lub siedem, jak podają niektóre źródła), studiując wiedzę tajemną w pieczarach Himalajów.

Pod koniec roku 1858, stęskniwszy się za rodziną i pogodziwszy z ojcem, powróciła do Rosji, gdzie przebywała przez pięć lat, początkowo w domu swego ojca w guberni pskowskiej, a następnie u krewnych matki w Tyflisie.

W tym okresie spotęgowały się u niej zdolności mediумiczne. W domu dawały się słyszeć pukania, szmery i dziwne głosy. Zależnie od jej woli przedmioty zmieniały swoje położenie, gasło światło, przez pokój przechodził zimny lub ciepły powiew. Ujawnił się także jej duży dar jasnowidzenia, który wkrótce przyniósł Blawackiej wielki rozgłos w okolicy. Pewnego razu wykryła sprawcę morderstwa i opisała przebieg wypadków do tego stopnia dokładnie, iż popadła w zatarg z policją, podejrzewając ją o udział w zbrodni.

W roku 1860 ciężko zachorowała wskutek odnowienia się ran w okolicy serca, jakie zadano jej podczas jakiejś ceremonii magicznej na Wschodzie. Wystąpiła wysoka gorączka, chora doświadczała konwulsji i wpadała wielokrotnie w trans. Po wyzdrowieniu, jak się wydaje, jej talenta mediумiczne i telepatyczne na jakiś czas zanikły.

W roku 1864 Blawacka opuściła Rosję. Znowu zaczęła wędrować po świecie. We Włoszech zaciągnęła się w szeregi garibaldczyków i w męskim przebraniu brała udział w bitwie pod Mentaną — 3 listopada 1867 roku. W boju została ciężko ranna. Uratowana, uciekła do Paryża. Tam wróciła do zdrowia. W Paryżu poznała przywódcę francuskich spirytystów Allana Kardeca i magnetyzera Michała. Z Paryża udała się znowu na Wschód.

W roku 1870 wróciła do Europy statkiem przez nowo otwarty Kanał Sueski. Ten grecki statek, przewożący ładunek prochu i ogni sztucznych, wy-

## MAGIA ATLANTYDY

Aleksander Mora

leciał w Kanale w powietrze. Blawacka znajdowała się wśród tych nielicznych, którzy przeżyli katastrofę. W Kairze długo czekała na pieniądze z Rosji. Nie trawiła jednak czasu bezczynnie: założyła tam klub „Societe spirite”, w którym głównym medium została Madame Sebire — francuska awanturka. Seanse w tym klubie zyskiwały sobie ogromną popularność pomimo bardzo wysokich cen wstępu. Wkrótce jednak wybuchł skandal, bowiem Madame Sebire przyłapano na oszustwie. „Societe spirite” rozwiązano, zaś Blawacka uznając, że sprawa jej nie dotyczy, wyjechała i w lipcu 1873 roku trafiła do Nowego Yorku. Tutaj stała się wkrótce mistrzynią i prorokinią „nowej nauki” — ruchu ezoterycznego. Początkowo zarabiała na życie jako krawcowa, lecz wkrótce zajęła się pracą publicystyczno-dziennikarską, prowadząc ją z dużym temperamentem, pisując do tygodników i magazynów amerykańskich artykuły o spirytyzmie.

W tym czasie wyszła powtórnie za mąż, za Ormianina Michała Betallay. Jednak i ten związek trwał bardzo krótko i zakończył się ponownie ucieczką Blawackiej.

Głównym rezultatem jej aktywności w tym okresie okazało się założenie Towarzystwa Teozoficznego w styczniu 1875 roku, którego celem było propagowanie braterskiej wspólnoty ducha wśród całej ludzkości, popieranie porównawczych studiów religioznawczych i filozoficznych oraz badanie nieznanych dotychczas praw natury i parapsychologicznych sił człowieka.

Prezesem Towarzystwa został pułkownik Olcott, zaś Blawacka objęła funkcję sekretarki. Trzeba jednak powiedzieć, że odgrywała ona w organizacji rolę dominującą; stosunek Olcotta do Blawackiej był stosunkiem ucznia do mistrzyni. Rozwijała więc żywą działalność literacką, podczas gdy talenty organizacyjne Olcotta pozwoliły na szybki rozwój Towarzystwa. Skupiło ono wiele osób zamożnych i poważnych, których wkład, także finansowy, stworzył silne podstawy ekonomiczne Towarzystwa.

W tych latach Blawacka napisała sporo artykułów i rozpraw, a w roku 1877 wydała dzieło „Izis unveiled”

(„Izis odsłonięta”), w którym przedstawiła podważający wkład doktryny teozoficznej. Książka odniosła sukces w Anglii i Ameryce, czyniąc jej autorkę sławną.

W roku 1878 Blawacka przyjęła obywatelstwo amerykańskie. Uczyniła to ponoć niechętnie i wyłącznie z przyczyn ekonomicznych; umierając, pewien bogaty Amerykanin zapisał jej cały swój majątek pod warunkiem przyjęcia przez nią obywatelstwa USA.

Blawacka cieszyła się uznaniem i znacznym rozgłosem. Za książkę „Izis unveiled” otrzymała honorową odznakę „Towarzystwa Różokrzyżowców” w Anglii oraz dyplom uznania od pewnego bractwa indyjskiego, posiadającego swoją siedzibę w Benares. Nawązał też z nią kontakt indyjski reformator religijny, zwany „Lutrem Indii”, Dajana Saraswati.

W listopadzie 1878 roku Blawacka w towarzystwie Olcotta i dwu innych członków Towarzystwa Teozoficznego opuściła Amerykę i udała się do Indii, aby tam, u źródeł, pogłębić znajomość

wrażenie skandalu zacięła się. Po jakimś czasie Blawacka odzyskała swój wpływ i popularność. Prowadziła dalej swoje dzieło, jedynając dla teozofii licznych zwolenników. Opublikowała szereg książek. Oprócz uprzednio wymienionego, napisała w latach 1877—1891 „The secret doctrine” („Nauka tajemna”), trzytomowe dzieło, które stanowiło jej główną pracę, a było ponoć tworzone w stanie transu. Inne książki Blawackiej to „The Key Theosophy” (Klucz do teozofii, 1889), „The voice of silence” („Głos milczenia”, 1889), „Gems from the East” („Klejnoty wschodu”, 1890). Po jej śmierci wydano: „Nightmare tales” („Opowieści o zmarłych”, 1892), „The theosophical glossary” („Słownik teozoficzny”, 1892) i „A modern Panarion” (1895).

Ostatnie lata spędziła Blawacka w Würzburgu, Elberfeldzie, Ostendzie, Norwood, a wreszcie w Londynie, gdzie zmarła po długiej chorobie, przy biurku nad niedokończonym dziełem „The secret doctrine”, 8 maja 1891 roku. Zgodnie z jej uprzednio wyrażonym życzeniem, ciało zostało spalone, a popioły złożone w trzech urnach i umieszczone w siedzibach Towarzystwa Teozoficznego w Londynie, Adyar i Nowym Yorku.

Wspomniana, główna praca Blawackiej pt. „Nauka tajemna” wydana została w trzech tomach: „Kosmogonia”, „Antropogeneza”, „Ezoteryka”. W pracy tej przedstawiony jest między innymi okultystyczny przekaz dotyczący Atlantydy, przy czym H. P. Blawacka powołuje się tam na tzw. „Księgi Dzyan”, której jeden z nielicznych egzemplarzy znajduje się ponoć w jakimś klasztorze tybetańskim, drugi natomiast w Bibliotece Watykańskiej, gdzie jest wyłączony jednak z udostępniania. Za pomocą jasnowidzenia i innych tajemnych sposobów udało się Blawackiej przeczytać ten przekaz.

Księga ta opisuje ewolucję rodzaju ludzkiego na przestrzeni milionów lat, wspomina też o wojnie między bogami. Szósta „słoka” „Ksiąg Dzyan” ma następującą treść: „Na czwartym kręgu, synom powiedziano, aby stworzyli swoje podobizny [kopie]. Jedna trzecia odmówiła. Dwie były posłuszne. Przekleństwo zostało wypowiedziane... Starodawne koła obracały się w górę i w dół. Matczyzna ikra wypełniła wszystko. Pomiędzy twórcami a niszczytelami toczone były wojny, a wojny toczone o przestrzeń; nasienie pojawiało się ciągle od nowa. O, uczniu, czyń swoje obliczenia, jeśli poznałeś właściwy wiek twego małego koła”.

Słoki 11 i 12 „Ksiąg” zawierają informacje dotyczące zagłady większej części ludzkości zamieszkującej prawdopodobnie na Atlantydzie: „Budowali oni wielkie miasta. Budowali je z rzadkich kamieni i metali. Z rozżarzonego mas, z białego kamienia gór i z czarnego kamienia wykonywali własne wizerunki w ich wielkości i kształcie, i czcili je. Wykonywali oni wielkie posągi wysokości dziewięciu stóp, według wielkości ich ciała. Wewnętrzne ognie zniszczyły kraj ich ojców. Woda zagrażała Czwartej rasie. Napłynęły pierwsze wielkie wody. Pochłonęły one siedem wielkich wysp. Wszyscy sprawiedliwi ocaleli, niesprawiedliwi zginęli. Wraz z nimi większość wielkich zwierząt i bydło, które powstały z potu ziemi. Niewielu ludzi pozostało przy życiu. Ocalało trochę złotych, trochę brązowych i czarnych oraz nieco czerwonych. Ci, którzy byli koloru księżycowego odeszli na zawsze. Piąta rasa, która wywodziła się z boskiego pnia przetrwała. Była ona rządzona przez pierwszych boskich władców. Węże, które znowu wyładowały, zawarły pokój z Piątą, pouczyły ją i nauczały”.

c.d.n.

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Maria Bechryc-Rudnicka, Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Mactel Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Boclan, Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Henryk Pajak (kierownik działu literackiego), Waldemar Stepien (fotoreporter), Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Marianna Obłoz.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamierzonych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w poniedziałki w godz. 10—12 i środy w godz. 14—15.

Wydawca Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa — Książka — Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie ul. Jasna 6 tel. 255-30.

Druk Lubelskie Zakłady Graficzne im PKWN w Lublinie ul. Unicka 4. PL ISSN 0137-7108. Nr indeksu 36751. Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 1/1.

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-93, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 273-35.

Korespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-036 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecane i ekspresowe — pod adresem redakcji.

N-7.